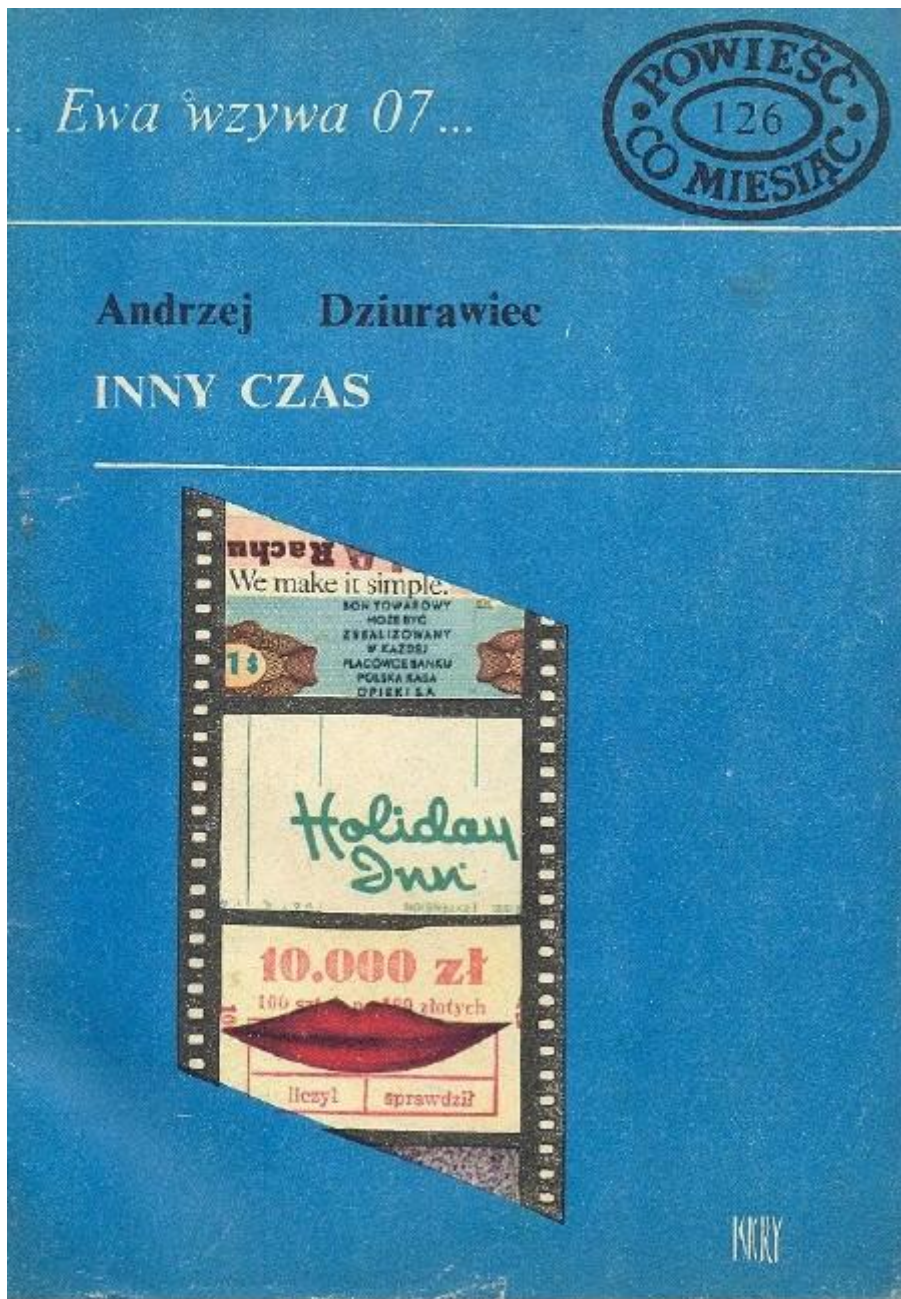


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa

Andrzej Dziurawiec INNY CZAS



Bogdan Kucharski, lat 53, wykształcenie średnie, zawód: scenograf filmowy:

— *Mieliśmy zacząć o siódmej, ale kolaudacja się przedłużyła i musieliśmy czekać na Kownasa. Przyjechał przed ósmą. Wszyscy już byli. Kownas powiedział parę słów, był bardzo zadowolony, len odcinek dostał pierwszą kategorię artystyczną... No i później normalnie, jak to na bankiecie. Jedni rozmawiali, inni tańczyli, a wszyscy pili... Przepraszam, nie wszyscy. Ostankiewicz nie pił. nie może. ma wszyty esperal... Nie, żadnych scysji nie było, trochę się tam przemówili szwenkier z Kozakiem, drugim reżyserem, nie przepadają za sobą, ale do rękoczynów nie doszło... Nawet nie wiem. o co im poszło, pewnie o Gralek. który ma z nią iść... Nie, żaden w końcu nie poszedł, spiła się szybko i zasnęła w tym małym pokoju obok pracowni... Tak. na piętrze. Stawski nawet tam poszedł za nią, ale sam też już był dobry... nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje... Mało mi sprzętu nie zdemolował... Kupiłem niedawno aparaturę nagłaśniającą, znakomita, nasza, ale w zasadzie tylko na eksport, nieważne, specjalnie umieściłem ją w pakamerze i tylko głośniki wstawiłem do pracowni... Wie pan. jak to bywa na przyjęciach... Aha, ze Stawskim, no więc włożył mi do pakamery i zaczął coś tam majstrować przy wzmacniaczu, przegoniłem go... później też zasnął, na kanapie, w pracowni... Parę minut po dziesiątej Kownas odjechał... Tak, taksówką, nawet na ognisku nie został... Szkoda, ...Tak. ma pan rację, ale kto mógł przewidzieć? ... No tak, morderca, tylko morderca... No i co dalej? Zeszliśmy na dół. do ogrodu. Na ognisko. Udało mi się załatwić kielbasę... Tak. wszyscy z wyjątkiem Gralek i Stawskiego. Piekliśmy kielbaski, gadaliśmy, bardzo przyjemnie było... No nie. nie wszyscy cały czas siedzieli przy ognisku, odchodzili, spacerowali po ogrodzie, znowu wracali... Jak padły te strzały, to na pewno byli Grucha — kierownik produkcji, Andrzej Mróz — operator i Staromłyński — asystent Kownasa, fotograf. No i ja oczywiście. Zresztą można to sprawdzić. Staromłyński robił cały czas zdjęcia. Ostatnie tuż przed... No i nagle te strzały... Tak, dwa, jeden za drugim.*

Pobiegliśmy na górę. Nie mogliśmy się do niej dostać, drzwi były zamknięte od wewnątrz. Na szczęście w kuchni mam zapasowe klucze, przyniosłem, otworzyliśmy... No i dalej już pan wie...

...Tak, to już chyba wszystko. Chociaż nie, jeszcze taki drobiazg: jak byliśmy na dole, przy tym ognisku, to nagle potwornie głośno zaczął grać magnetofon. Aż się sąsiedzi pobudzili, to jednak dwa razy po czterdzieści watów... Pobiegłem na górę i zgasilem. Pewnie Stawski się ocknął i puścił na całą moc... Ryk był niemożliwy... Ale to tylko przez chwilę... Nie pamiętam dokładnie, jakieś piętnaście może minut przed tymi strzałami... Teraz to już chyba naprawdę wszystko.

Zadra zastopował taśmę. Przez chwilę bawił się jeszcze bezwiednie klawiszami, aż Ba mych ostentacyjnie odsunął służbowy magnetofon.

— Są już te zdjęcia — podsunął mu kopertę z odbitkami ilustrującymi zeznania Kucharskiego.

Kownas z kieliszkiem w uniesionej dłoni, perorujący coś do otaczających go półkolem gości. (Zadra znał tę twarz, pojawiała się czasami w telewizorze, lecz nie pamiętał żadnego z jego filmów). Bożena Gralek (nawet ładna, choć chyba już pijana) z Ostankiewiczem wysokim, chudym, pomarszczonym, siwym. Kłóca się? To raczej ona krzyczy na niego. On milczy, patrzy gdzieś w bok. na potężną kolumnę głośnikową.

Stawski i Kozak naprzeciw siebie: napięci, czujni... (aż dziw. że się jednak nie pobili).

Ostankiewicz niesie dwie butelki wódki. W tło tańczący: Bożena z Kozakiem i Thorstein z Mrozem. Ci ostatni przytuleni mocno, oczy półprzymknięte. Romantycznie.

Stawski pijany, rozwalony na kanapie, zasłania ręką oczy, przed błyskiem flesza pewnie...

A teraz już w ogrodzie przed willą Kucharskiego, przy ognisku: gospodarz, Grucha i Mróz. Trzymają nad ogniem nadziane na patyki kielbaski. Uśmiechnięci, zadowoleni...

I ostatnie: Grałek naga, na łóżku... Ciemna plama wokół głowy. Oczu nie widać, leży na brzuchu, ręce rozrzucone szeroko... Na podłodze przy łóżku pistolet, nieco bliżej drzwi — klucz.

— Tak, to rzeczywiście ilustracje do tych zeznań Pełna zgodność. Aż miło. Kucharski nie mógł widzieć tych zdjęć?

— Nie. no skąd. Wzięliśmy film od razu na miejscu. Wywołany był już u nas.

— W porządku. Przeczytaj spis gości. Barnych nie musiał czytać, znał już tę listę na pamięć. Otworzył wprawdzie przed sobą notes, ale nawet do niego nie zajrzał:

Piotr Kownas — reżyser.

Zbigniew Stawski — operator kamery, czyli szwenkier.

Wiesław Staromłyński — asystent reżysera i fotosista.

Andrzej Mróz — operator obrazu.

Waldemar Kozak — drugi reżyser.

Jerzy Grucha — kierownik produkcji.

Monika Thorstein — drugi kierownik produkcji.

Bronisław Ostankiewicz — drugi scenograf.

Bożena Grałek — asystentka kierownika produkcji.

— Zapomniałeś o Kucharskim — nie omieszkał wytknąć porucznikowi Zadra.

— Prosiłeś o gości, a Kucharski był gospodarzem. Pudło, kolego Barnych nawet nie starał się ukryć złośliwej satysfakcji.

— Rzeczywiście. Chyba się starzeję. Żona twierdzi, że zaczynam siwieć... i kapitan instynktownie pogładził się po ciemnych jeszcze zupełnie włosach na skroni.

— Wspaniale. Może przejdziesz na wcześniejszą emeryturę...

— Jak Warecki na przykład? Dziękuję. Dobrze mi, widzę, życzysz...

— Oczywiście. Od wczesnego dzieciństwa chciałem być emerytem. Ewentualnie rencistą. A ty?

— Oficerem, rzecz jasna Najchętniej milicji. Wiesz, mundur, pistolet, te sprawy... To bardzo męskie, szczególnie dla sześciolatka...

— I co, nic przeszło ci?

— Jak by ci tu powiedzieć...? No dobra, poflirtowaliśmy. a teraz do roboty. Przesłuchałeś wstępnie ich wszystkich? — Zadra ponownie zaczął przeglądać zdjęcia z bankietu. Przerzucał je cały czas słuchając wyjaśnień porucznika.

— Tych, którzy byli na miejscu — tak, z wyjątkiem Stawskiego, nic dało się z nim jeszcze rozmawiać...

— I...?

— I nic, a w każdym razie niewiele. Ta Thorstein migdałowała się cały czas z Mrozem; na chwilę tylko, przed tymi strzałami, weszła do willi, ponoć chciała się czegoś napić, ale chyba poprzytykała się trochę z tym

całym operatorem, minę miała raczej niewyraźną. On zresztą też... Może zostawiłbyś w końcu te zdjęcia... Czy ty w ogóle słyszysz, co mówię? — Barnych nie lubił mówić w przestrzeń, a kapitan zdawał się zupełnie nie reagować na jego słowa.

— I co dalej z tą Thorstein? Zadra zignorował skargę kolegi i wciąż błędził nieuważnym spojrzeniem po odbitkach.

— Nic. Tak w każdym razie twierdzi. Była w połowie schodów, kiedy usłyszała. Przestraszyła się. Zbiegła na dół. w drzwiach spotkała się z pozostałymi...

— Ile czasu mogło upłynąć od strzałów do tego spotkania?

— Nie da się ustalić. Może pięć, może dwadzieścia pięć sekund. Zanim tamci się zorientowali, podnieśli, podbiegli do wejścia...

— Rozumiem. Kozak i Ostankiewicz?

— Twierdzą, że szwendali się po ogrodzie. Osobno. Dobiegli do reszty już po otwarciu pokoju.

— W porządku. I tak będę jeszcze z nimi rozmawiał. Coś więcej?

— Możemy spokojnie przyjąć, że to któryś z gości. Żadnych śladów kogoś z zewnątrz. Oczywiście mógł działać bezśladowo. ale...

— Jasne. Co z laboratorium?

— Strzelano przez koc. Wygląda na to, że morderca chciał przynajmniej trochę stłumić odgłos...

— Średnio mu się udało. Zeznali zgodnie, że strzały słychać było całkiem wyraźnie. Jakies odciski na broni?

— Żadnych. Pistolet oczywiście nie rejestrowany. Zadra wstał, oparł ręce o poręcz krzesła i stał tak nieruchomo pochylony nad biurkiem. Minutę, drugą... Barnych zaczął się niecierpliwić. Nie znosił takiego bezruchu.

— Wiesz. Marcin, z dwojga złego to już chyba wolę, jak chodzisz.

— Wódki bym się napił... — dopiero po chwili, nie zmieniając pozycji, do siebie bardziej wymruczał Zadra.

— Widzę, że niespecjalnie się cieszysz z tej sprawy...

— Myślisz?... No dobra, masz tam coś jeszcze? :— Na razie to wszystko. Wyniki sekcji będą jutro. Ale nie ludź się. samobójstwo to to nic jest.

— Rodzinę już powiadomiłeś?

— Nie miała rodziny.

— Może i lepiej. Gdzie mieszkała?

— Miała kawalerkę na Dolnej.

— Byłeś?

— A kiedy, nie wiesz przypadkiem?

— Nie wiem. i powiem szczerze: średnio mnie to interesuje. Jedź tam zaraz.

— Marcin, coś ty, żartujesz chyba... Jedenasta dochodzi. Czy wiesz, o której wczoraj skończyłem?

Zadra wciąż pochylony nad biurkiem, oparty o krzesło, nawet nie podniósł głowy. Tym samym co przed chwilą tonem, wciąż jakby do siebie, powiedział wolno, spokojnie:

— Podporuczniku Barnych. udacie się natychmiast do mieszkania denatki Bożeny Grałek w celu przeprowadzenia przeszukania. Jutro o ósmej trzydzieści przedstawicie mi raport. Zrozumiano?

Barnych spłoszył. Instynktowna przyjął postawę zasadniczą. Bez słowa skierował się ku wyjściu. Już w drzwiach dobiegł go cichy głos Zadry:

— No. powiedzmy o dziewiątej.

Grucha zjawił się w komendzie dopiero wpół do dziewiątej. Zadra bez słowa wskazał mu miejsce naprzeciw siebie. Nie spieszył się specjalnie z rozpoczęciem przesłuchania. Nie czuł sympatii do swego rozmówcy, nie lubił ludzi z wypisaną na twarzy wiarą we własną nieomylność, tych grubokarkich, którzy zawsze mają rację: może to nawet za słabo powiedziane: „nie lubił”.

Kierownik produkcji nic sprawiał wrażenia zdenerwowanego czy podekscytowanego choćby. „Tak, ten człowiek zawsze i wszędzie jest u siebie” — pomyślał Zadra przyjmując carmena z rozpieczętowanej właśnie przez Gruchę paczki.

— Więc czym mogę służyć, panie kapitanie? ... Przepraszam, nic wiem. czy odgadłem stopień?

— Nieważne. Proszę mi opowiedzieć wszystko, co pan wie o Bożenie Gratek.

— A przebieg przyjęcia nic interesuje pana?

— Nie. Ona była pana asystentką, prawda?

— Tak, jestem kierownikiem produkcji filmu. Pracowała ze mną od jakichś dwóch lat. Tak, niemal dokładnie, zaczęła w lipcu siedemdziesiątego ósmego. Robiliśmy razem. *Dzienniki Historyczne*. To był bardzo ciężki film. Nawet pan sobie nie wyobraża. Sześćdziesiąt dziewięć obiektów zdjęciowych, czterysta jedenaście...

— To fascynujące — przerwał mu brutalnie Zadra — ale pomówmy jednak o pani Bożenie.

— Tak. właśnie... Bożena... — Grucha spieszył się jednak odrobinę, w każdym razie zgubił na chwilę wątek. — No więc przysłała do mnie prosto po łódzkiej szkole. Była solidna, uczciwa... Nie miałem do niej żadnych zastrzeżeń. Po tym filmie miała debiutować jako drugi kierownik. Bardzo ją ceniłem... — zawiesił głos przypominając sobie w końcu, że mówi o zmarłej.

— Czym konkretnie się zajmowała?

— Prowadziła obiekty.

— To znaczy?

— Zajmowała się od strony produkcyjnej całą 'inscenizacją. Uczestniczyła w dokumentacjach, przygotowywała obiekty zdjęciowe, utrzymywała kontakt z ich właścicielami... No. mnóstwo spraw. Współpracowała z pionem scenograficznym.

— To znaczy z panem Kucharskim głównie?

— Nie, z nim właśnie najmniej. On robi dokumentację, wybiera obiekty, a na planie zjawia się bardzo rzadko. Zresztą nie musi. Bożena działała głównie z Ostańkiewiczem, naszym drugim scenografem, i z Krysztyną Szaser, dekoratorem wnętrz.

— Drugi kierownik produkcji, drugi reżyser, drugi scenograf to rozumiem — ktoś w rodzaju zastępcy, tak?

— Mniej więcej.

— Proszę dalej. Miała jakieś poważne problemy w pracy?

— Proszę pana. w tym zawodzie codziennie rodzą się dziesiątki poważnych problemów. Czy pan wie, ile kosztuje jeden dzień zdjęciowy?

— No więc co z tymi problemami? — Zadry nie interesowały tajniki produkcji filmowej. W każdym razie nie te. o których mógłby, czy raczej chciałby mu opowiedzieć Grucha.

— Specjalnych kłopotów to chyba nie miała, zresztą nie wiem. Jej bezpośrednim przełożonym była Monika Thorstein. Ja, widzi pan, zajmuję się głównie strategią: sprawy, że tak powiem: bieżące, prowadzą drudzy i asystenci.

— Rozumiem. Czy Grałek miała możliwość dokonania jakichś nadużyć finansowych?

— Proszę pana! — Grucha był najwyraźniej oburzony tym pytaniem. — My nie jesteśmy złodziejami!

— Gratuluję. Proszę jednak odpowiedzieć na moje pytanie.

— Możliwości, większe czy mniejsze, są wszędzie, albo prawie wszędzie, ale...

— No właśnie, a asystent w filmie ma te większe, czy te mniejsze?

— Nie rozumiem, o co panu chodzi... Bożena nie kradła. Mogę za nią ręczyć.

— No dobrze. To na razie wszystko. Dziękuję panu.

Ale Grucha jakby nie dosłyszał. Wyciągnął nowego papierosa i zapalił nie częstując już tym razem kapitana. Zaciągnął się mocno, przez chwilę jakby się decydował, wreszcie zaczął, przyglądając się Zadrze uważnie:

— Jest jeszcze jedna sprawa, panie kapitanie. Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli...

— Tak, słucham pana... — wbrew oczekiwaniom Gruchy Zadra nie przejął się zupełnie tym ostentacyjnym wprowadzeniem, zresztą wiedział doskonale, o czym tamten chce mówić. Wiedział również, że nie jest to ostatnia rozmowa w tym tonie.

— Widzi pan, kapitanie, ja rozumiem, że śledztwo ma swoje prawa, że jest konieczne, ale prosiłbym... jak by to powiedzieć... no. żeby nie wzbudzać niepotrzebnej sensacji. Nie wiem, czy się dobrze rozumiemy... — i znowu badawcze spojrzenie utkwione w twarzy Zadry. Ten nie miał jednak najmniejszego zamiaru ułatwiać rozmówcy czegokolwiek.—

— Chyba nie bardzo — odpowiedział spokojnie."

— To film w pewnym sensie priorytetowy, pan rozumie: ze względu na walory propagandowo ideologiczne nasz film jest jakby pod specjalną opieką: Nie chcemy, nie wolno nam jej zawieść... I nie jest to tylko nasza sprawa... .

— Czy to już wszystko?

— Tak. myślę, że tak... — Grucha podniósł się ciężko, jakby niechętnie. Pochylił się nad biurkiem, wyciągnął dłoń do kapitana. Przeciągnął znacząco (tak się w każdym razie wydawało Zadrze) uścisk, po czym odwrócił się i zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju.

Barnych zjawił się punktualnie, co zdarzało mu się raczej rzadko. Nietrudno było dopatrzeć się w tym fackie ostentacji. Podobnie jak w nader służbistym powitaniu i niezwłocznym przekazaniu Zadrze raportu z wczorajszego przeszukania. Lecz kapitan nie zamierzał przejmować się fochami kolegi.

— Gdybyś był rzeczywiście taki ambitny, to warowałbyś tutaj od ósmej. No, co tam ciekawego?

— Przecież mówiłeś: „o dziewiątej” ... —skonsternował się nieco Barnych i zapomniał jakoś o ściśle służbowym stosunku do szefa, który sobie wymyślił jako odpowiedź na wczorajsza, bezdusność Zadry.

— Oczywiście, ale ambitny podwładny nie korzysta przecież z ochłapów łaski przełożonego — tyra-
na, nieprawdaż?

— Ambicja ambicją, a pospać też trzeba. A u Grałek oczywiście nic.

— A dokładniej?

— Porządek, czyściutko, wszystko na swoim miejscu, elegancko. Obrzydliwość jednym słowem.

— I nic ciekawego? Barnych zmieszał się trochę:

— No, może ten porządek właśnie...

— Jaśniej, kolego, jaśniej!

— Odcisków ani śladów żadnych nie ma, ale miałem takie wrażenie, że ktoś tam był już przed nami.

— Czyli wyszło na twoje. Przepraszam.

— Nie rozumiem, za co? — wybąkał przeczuwając złośliwość Barnych.

— Niepotrzebnie gnałem cię tam wczoraj. Rzeczywiście, jak zawałiłeś sprawę na początku, to można już było darować sobie tę wizytę...

Barnych gorączkowo zastanawiał się nad jakąś celną a złośliwą ripostą, ale nic mu akurat nie przycho-
dziło do głowy. Milczenie przedłużało się więc. Zadra bowiem nie zamierzał pomagać mu w ucieczce w
inny, bardziej neutralny temat. Toteż gdy zadzwonił telefon, Barnych rzucił się ku niemu jak błyskawica,
nie dając najmniejszych szans sięgającemu również po słuchawkę Zadrze; Oczywiście nie omieszkał okraścić
swego sukcesu triumfalnym uśmiechem. Rozmawiał dosyć długo potwierdzając monosylabami swoją obec-
ność przy aparacie. Dla dodania rzeczy powagi robił nawet notatki, podkreślając coś tam co chwilę. Wresz-
cie odłożył słuchawkę, zasiadł przy biurku swego szefa i z wielkim namaszczeniem wczytywać się zaczął w
sporządzone przed momentem bazgroły. Zadra wyciągnął więc gazetę i zabrał się do lektury pasjonującego
sprawozdania z występów naszych laskarek na olimpiadzie w Moskwie. Nie czekał zbyt długo.

— Wiesz, dzwonił z Zakładu Medycyny Sądowej...

— Niemożliwe — odparł Zadra nie odrywając wzroku od gazety. — I co tam u nich ciekawego?

— No już dobrze. wygrałeś. — Barnych nie potrafił dłużej ukrywać podniecenia. — Są wyniki sekcji.
Miała ponad 2% alkoholu we krwi...

— No to trzeźwa rzeczywiście nie była. Co jeszcze?

— Samobójstwo wykluczone; ułożenie ciała, tor pocisku i tak dalej... Wygląda na to, że mordercę po-
niosły trochę nerwy. Drugi strzał był bezsensowny. Nie miała prawa przeżyć pierwszego.

— Co więcej?

— Była w ciąży. W trzecim miesiącu. Zadra odłożył gazetę składając ją uważnie.

Machinalnie sięgnął po papierosa.

— Jeżeli łądak wiedział, to musi być niezłym skurwysynem... Chyba będziemy musieli dowiedzieć
się czegoś więcej o pani Bożenie. Sprawdź, w wytwórni, z kim się przyjaźniła, gdzie bywała i co o niej mó-
wiono. Bo jak znam życie, to mówiono. I to pewnie niemało.

Pułkownik Stępak powitał Zadę niezwykle serdecznie. Kawę zaproponował, szerokim gestem wskazał jeden z przeznaczonych dla lepszych gości foteli, ustawionych przy małym stoliku w rogu monumentalnego, dostojnego gabinetu. Nawet papierosy drogie, zagraniczna wyjął i Zadrze podsunął, chociaż sam nie palił. Ale nawet bez tego przygotowania Zadra wiedział, że musi mieć się na baczności. Przyjął ogień od szefa i czekał spokojnie, aż tamten od konwencjonalnych pogadywanek przejdzie do rzeczy. I rzeczywiście. Już po chwili tym samym wciąż, swobodnym, uprzejmym tonem pułkownik zapytał:

— No, a co tam z tą filmową historią? Macie już jakiś pogląd na sprawę?

— Jeszcze nie. Zbieram informacje.

— No tak, jeszcze za wcześnie. Ciekawe, jaki mógł być motyw...?

— Pieniądze, miłość lub strach.

— Widzę, że humor wam dopisuje. To dobrze, Zadra, to bardzo dobrze. W wytwórni już byliście?

— Nie chciałem się wcześniej porozumieć z obywatelem pułkownikiem w sprawie kontroli.

— To bardzo dobrze... Tak... Widzicie ja uważam, po zapoznaniu się z waszym raportem oczywiście, że kontrola nie jest chyba konieczna,.. Była w ciąży, prawda? Sprawdziliście już tego Kozaka, drugiego reżysera bodajże ...?

— To jej chłopak?

— Tak. ostatni, nie wiedzieliście?

— Nie. I nie bardzo wiem, skąd obywatel pułkownik...

— He, he. Zadra, stary Stępak też czasem wie to i owo...

— Rozumiem. Czy mogę liczyć na współpracę z... — zawahał się. szukał odpowiedniego określenia
— ...ze źródłem informacji obywatela pułkownika?

— No nie, oczywiście, że nie. To przecież; zupełnie inna branża, że tak powiem. Czyżbyście uważali, że sprawa przerasta wasze możliwości? Potrzebujecie pomocy?

— Myślę, że dam sobie radę. Wracając do sprawy kontroli w wytwórni, uważam...

— Cieszę się, że się ze mną zgadzacie. Zadra — przerwał mu Stępak. — Jeśli nie jest to konieczne, to po co dezorganizować im robotę, prawda? Wiecie, oni rzeczywiście ciężko pracują. Kilkanaście godzin na dobę. Szczególnie teraz, w trakcie zdjęć. A poza tym. wiecie, ten serial jest. jak by to powiedzieć... Krótko mówiąc nic należy im zbytnio przeszkadzać. Rozumiecie mnie, Zadra?

— Tak jest. obywatelu pułkownika — bez niepotrzebnej chwili wahania odpowiedział kapitan.

— Co oczywiście nie znaczy, że są pod jakąś specjalną ochroną. Śledztwo musi być przeprowadzone zgodnie z wszelkimi zasadami, prawda...

— Oczywiście, obywatelu pułkownika.

— No to życzę powodzenia — Stępak uniósł się ciężko z fotela i wyciągnął kordialnie dłoń. — Jakbyście mieli jakiegokolwiek trudności, meldujcie.

Mołodysz jak zwykle się spóźniał. Zadra zdążył już zamówić drugą wódkę, kiedy zjawił się wreszcie, jak zwykle uśmiechnięty, jak zwykle zadowolony z siebie i świata. Jak zwykle też, nie zdążywszy jeszcze dobrze usiąść, zaczął opowiadać Zadrze świeżo zasłyszany „milicyjny” dowcip:

— Jak milicjantowi biblioteka spłonęła, znasz?

— Mniej więcej od dwudziestu lat. Obie książki mu się spaliły, jedna jeszcze nie pokolorowana. Dobrze. Czegoś nowego nie masz?

— Niestety... Ale jak tylko będę miał nie omieszkam...

— Tak, tak. wiem. Tylko spróbuj wprowadzić cezurę. Powiedzmy; czterdziesty piąty. Starszych mi nie opowiadaj.

Po tym rytualnym już niemal wstępie Zadra od razu przystąpił do rzeczy — nie lubił udawać, że spotkał się z kimś ot tak tylko, z czystej przyjaźni, a później wyciągać, niby to przypadkiem, jakąś sprawę. Wolał to mieć z głowy od razu, na początku.

— Robiłeś kiedyś za filmowca, prawda?

— Parę lat temu. Pracowałem w wytwórni.

—Jako?

— Asystent reżysera.

— Znakomicie. Masz jeszcze kontakty ze środowiskiem?

— Owszem, znam parę osób. Może byś powiedział jednak, o co chodzi?

— Niechętnie. Ale chyba muszę. Bożenę Grałek znałeś?

— Nie, a powinienem?

— Asystentka w wytwórni właśnie. Zastrzelona podczas bankietu. Prowadzę sprawę. Musiał to zrobić ktoś z ekipy.

— Rozumiem. Jaki film?

— Serial. Ma nawet wdzięczny tytuł: Krew.

— Kownas to robi?

— Właśnie. Operatorem jest Andrzej Mróz, kierownikiem produkcji. Grucha.

— A scenografem?

— Kucharski. Bogdan Kucharski. To w jego willi właśnie...

— Może będę ci mógł trochę pomóc. Znam dziewczynę z tego filmu. Bardzo przyjemna panienska, czego nie można powiedzieć o firmie, popularnie zwanej „kaprysem Prezesa"... Słyszałeś o *Dziennikach Historycznych!*

— Nie. chyba nie...

— Robiłem reportaż z tej sprawy. Rzecz jasna nie poszedł. Serial historyczny w koprodukcji z Zachodem. Ponad milionowe nadużycia. Niedawno skończyło się śledztwo. Parę osób siedzi, parę zwolniono z pracy. Same płotki zresztą... A grube ryby były za grube... Nawet jak dla was.

— Przesadzasz. I to chyba mocno.

— Niestety. Posadzono tylko szeregowych pracowników, którym udowodniono w sumie niewiele ponad trzysta tysięcy... Reszta jest milczeniem. Tak. tak. stary. Pogadaj zresztą z majorem Wareckim. On prowadził śledztwo.

— Nie. bracie, niemożliwe. Znam człowieka buldog, rozumiesz? Jak już coś złapie, to nie ma sprawy — nie puści. Trizmus. kojarzysz? Szczękościsk. Nie. to niemożliwe.

— Możliwe, możliwe. Pewnie jakby mógł, toby nie puścił — widocznie nie mógł. Rozumiesz?

— Niechętnie — Zadra wysączył resztkę, dosłownie resztkę wódki, zapalił papierosa. Mołodysz, również zamyślony, nie przerywał milczenia. Dopiero brutalna interwencja kelnerki ostentacyjnie sprzątającej ich stolik, przywróciła im poczucie rzeczywistości. Zamówili po herbacie tylko, co rzecz jasna nie wzbudziło entuzjazmu skazanej na pracę w uspołecznionej gastronomii księżniczki.

— Na czym polegają te machlojki? Wiesz coś o tym?

Mołodysz nie od razu odpowiedział, zastanawiał się chwilę jakby odrobinę speszony.

— Wiesz, to trudno tak uogólniać, nie chciałbym...

— Chyba mnie obrażasz, kolego — przerwał mu ostro Zadra. — Znamy się nie od wczoraj. Przecież nie chcę od ciebie nazwisk ani sum. I wcale nie musisz robić za delatora, w każdym razie nie ze mną... Chodzi mi o mechanizmy, metody... Średnio się na tym znam. a chciałbym wiedzieć, gdzie jestem. Rozumiemy się? Bo jeśli nie, to chyba nie mamy o czym ze sobą rozmawiać!

— Już dobrze, dobrze, nie gładz tyle. Robisz się nadwrażliwy na starość — zamknął temat Mołodysz i szybko kontynuował, by nie dopuścić już przyjaciela do głosu. — Sposobów jest wiele, najpopularniejszy to chyba taksówki. Wiesz, na jakiej zasadzie je wynajmują?

— A niby skąd mam wiedzieć? Nie popisuj się, do rzeczy.

— Nie płacą według licznika, bo wtedy żaden taksówkarz nie chciałby u nich robić. Za mało jazdy, za dużo stania. A oni muszą mieć cały czas samochody do dyspozycji, zawsze może coś wyskoczyć na planie... Więc płacą sto czterdzieści za godzinę, albo i lepiej. Nawet jeśli wóz cały czas stoi. I wszystko gra. Panowie filmowcy są zadowoleni — bo taksóweczka zawsze czeka, a i dopisać do rachunku można godzinę czy dwie, taksówkarz — bo nawet jak zrobi dziesięć kilometrów, to te swoje półtora tysiączka wyrobi, MPT — bo robi kasę... Przyjemnie, nie?

— Ale to chyba nie są duże pieniądze?

— To zależy dla kogo. Jeżeli jeździ, powiedzmy, pięć taksówek i każdej dopiszesz tylko godzinę, to już jest siedem stów dziennie... To oczywiście najbardziej banalne historie. Ciekawiej już jest z obiektami. Potrzebna jest na przykład willa do zdjęć. Właściciel żąda dwadzieścia tysięcy, rachunek robi się na czterdzieści... Albo: kupiłeś sobie zdewastowany dworek, trzeba go wyremontować, a ty nie masz już forsy... Jeśli masz zaprzyjaźnionego reżysera czy scenografa, uczynnego rzecz jasna, rozumiesz — oczywiście nie mówię o wszystkich — to żaden problem. Więc taki reżyser oświadcza, że tylko zdjęcia w tym twoim dworku odpowiadają jego artystycznej wizji, że coś takiego właśnie sobie wyobrażał już podczas pisania scenariusza... I oczywiście wytwórnia remontuje twój dworek, jak dobrze pójdzie to jeszcze i czynsz ci zapłaci... A później kręci się tam pro forma jedną scenę, która i tak nie wejdzie w końcu do filmu. Nie mówię, że to reguła. Nie, na pewno — ale bywa i tak. znam kilka takich historii... Co tam jeszcze? A, taki drobiazg: rekwizyty. Robi się film retro. Trzeba zorganizować skup rekwizytów. Daje się ogłoszenie do prasy, kupuje się bibelotów za sto czy dwieście tysięcy. Zawsze się znajdzie kilka perełek, i to za bezcen, ludzie często nawet nie wiedzą, co mają. Oczywiście te rzeczy nigdy nie trafią do magazynów wytwórni... Albo protokoły zniszczenia: potrzeba do dekoracji kilkudziesięciu metrów adamaszku, czy innego pluszu Wysła się rekwizytora do fabryki, załatwia, a później... no cóż: „podczas zdjęć z udziałem statystów materiał uległ zniszczeniu, pozostałe resztki zostały komisyjnie zlikwidowane” — z niezwykle poważną miną wydeklamował Mołodysz — A że to zniszczenie nie było znowu takie bardzo dokładne, to już inna sprawa... To oczywiście nie wszystko. Wiesz, ile zarabia rekwizytor?

— Umawialiśmy się już...

— Dobrze, dobrze. Jak ostro zasuwa i robi film za filmem, to może mieć przeciętną z dziesięć miesięcznie, może odrobinę więcej. A tak się dziwnie składa, że prawie wszyscy mają samochody. I to niekoniecznie „maluchy” czy syrenki. Do każdego filmu wynajmuje się setki rekwizytów, za każdy wynajem rzecz jasna się płaci... Nawet jest zwyczajowo przyjęta stawka: jedna trzecia dla rekwizytora. Po prostu I znowu — nic mówię, że wszyscy to robią, ale ta „stawka” jest w zasadzie powszechna... A trzeba ci wie-

dzień, że rekwizyt to na przykład również samochód czy koń i dorożka, i opłata za wynajem może wynosić i kilkanaście tysięcy. Czasami nawet więcej. Za jeden rekwizyt! Z takich bardziej znanych sposobów pozostają jeszcze kartki statystów i honoraria. Kartki to niemal powszechnie przyjęty w filmie środek płatniczy... Jak nie ma żadnego sposobu, by komuś zapłacić tutaj kłaniają się nasze bzdurne przepisy — płaci się kartkami...

— Kartka to. rozumiem, honorarium dla statysty, tak?

— Właśnie. Sto pięćdziesiąt lub dwieście złotych. Pisz się w raporcie z dnia zdjęciowego, że było. powiedzmy, stu trzech statystów, a nie. jak naprawdę, siedemdziesięciu... Oczywiście nie ma możliwości, żeby to sprawdzić. Na ekranie nie policzysz.

— Chyba zaczyna mnie boleć głowa...

— To już prawie wszystko. Jeszcze tylko honoraria. Z każdego zlecenia, a są ich w filmie dosłownie setki, nawet nie wyobrażasz sobie, ile różnego rodzaju usług, rozmaitych prac. trzeba wykonać przy jednym przeciętnym filmie, więc zawsze z takiego zlecenia jakąś tam część można sobie potrącić... Oczywiście w porozumieniu z wykonawcą.

— Tak. to ładne... to ładne. I w każdym filmie tak to wygląda?

— Nie wiem. czy w każdym, ale sądzę, że na większą lub mniejszą skalę podobnie. To po prostu konieczność. Jeśli myślisz, że ja nie robiłem takich numerów, to się mylisz...

— Oczywiście żartujesz...

— Ani myślę. Nie wszystko z tych szwindli idzie do prywatnych kieszeni. Część trzeba po prostu robić, żeby w ogóle móc pracować. Gdyby któryś kierownik produkcji uparł się, że będzie skrupulatnie przestrzegał wszystkich przepisów, nie zrobiłby nigdy żadnego filmu. Nie miałby żadnych szans. Nie miałby samochodów, bo nie byłoby możliwości zapłacić za nie zgodnie z przepisami, nikt nie wykonałby mu żadnej, najprostszej nawet pracy...

— A to dlaczego?

— Wolno zapłacić maksimum trzydzieści złotych za godzinę. Trzeba, powiedzmy, rozładować ciężarówkę, dwie godziny roboty — znajdziesz klienta za sześćdziesiąt złotych? Albo: najwyższa stawka za wynajem obiektu do zdjęć wynosi tysiąc pięćset złotych za dzień. Wpuściłbyś za to do mieszkania kilkadziesiąt osób, żeby przez cały dzień łazili, wszystko przestawiali, wnosili i wynosili meble, demontowali kontakty, zdejmowali drzwi i tak dalej? Przez dwa tygodnie nie doprowadziłbyś później mieszkania do porządku. Więc co, zgodziłbyś się za półtora patola? A tyle tylko wolno zapłacić. Tak, stary, to nie jest takie proste... I dotyczy nie tylko filmu. Tak jest wszędzie.

— Masz rację.

Zadra po krótkiej, a zwycięskiej walce ze sobą zdecydował się na trzecią już dzisiaj wódkę i przywołał kelnerkę. Przez chwilę bawił się kieliszkiem masochistycznie oddalając moment spełnienia.

— Masz rację, Włodku. System zakładający programowo niemal nieufność w uczciwość człowieka, automatycznie ewokuje zachowania odwrotne do pożądaných. Mnożenie przepisów, instrukcji i innych ograniczeń powoduje wyłącznie coraz większą wprawę w ich obchodzeniu. Pewnie gdyby nic ingerowano bezpośrednio w każdą umowę, nie ustalano sztywnych, ale za to bezsensownych stawek na wszystko, wyglądałoby to inaczej...

— Oczywiście. Gdyby przekazano dwie trzecie tej sumy kierownikowi produkcji czy innemu dyrektorowi, ale bez konieczności oglądania się na te wszystkie idiotyzmy — to zrobiliby szybciej, łatwiej i jeszcze dla siebie zaoszczędził. Rzecz jasna gdyby był w tym zainteresowany. Bo teraz im drożej się robi, tym większe honorarium...

— Gdyby... Wiesz, niby o tym wszystkim się wie, ciągle się przecież o czymś takim słyszy, już się człowiek nawet przyzwyczaił, że to wszystko jest takie... ale jednak kiedy spotykam się z konkretnym przykładem, z konkretną sprawą, zwyczajnie nie mogę uwierzyć... Że to aż tak.

— I tak trzymaj, stary. Lepiej umówić się, że to tylko przejściowe trudności i skutek złożonej sytuacji międzynarodowej. Tak zdrowiej... Chyba nie lubię, kiedy normalny, żyjący tu i teraz człowiek robi za nieświadomą niczego panienkę z kiepskiego przedwojennego filmu...

— Nie, stary, to nic tak. Tu nie chodzi o świadomość, ale o nadzieję. Zresztą sam nie wiem. Masz jakieś inne propozycje? Napisać tego nic możesz?

— Ty naprawdę nic wiesz, gdzie żyjesz, czy tylko udajesz? Od razu zadano by mi trzy klasyczne pytania; „Czemu to służy? Kto za tym stoi? Na czyj młyn jest ta woda?” i poinformowano, że „teraz nie jest odpowiedni moment”. A pisać dla ciebie i Baški tylko, to mi się nic chce.— Tak. kolego, tak to wygląda... Ale a propos Basia: jest dzisiaj u niej bankiet. Może wpadniesz. ...?

— Nie. raczej nie... Jakoś nie mam ochoty się bawić... Pozdrów ode mnie Barbarę.

Mołodysz kusił jeszcze podstępnie przyjaciela kolejnym kieliszkiem, ale tym razem Zadra wykazał należyty hart ducha i — choć bez entuzjazmu — postanowił wrócić do komendy.

Barnycha rzecz jasna jeszcze nie było. Zadra nie bardzo wiedział, za co się zabrać. Mówiąc prawdę, najchętniej wybrałby się na długi spacer, lub — jeszcze lepiej — na basen. Lipiec nie był wprawdzie upalny, ale duszna, jakby naelektryzowana atmosfera nie sprzyjała pracy... Poczucie obowiązku zwyciężyło jednak. Wyciągnął pęczniejącą powoli teczkę i zaczął przeglądać papierzyska. Tego właśnie w swej pracy nie znosił najbardziej. Tej przytłaczającej, a nieuniknionej biurokracji.

Wstał, wygrzebał z szafy taśmy magnetofonowe, zajęte w willi Kucharskiego. „Tego właśnie słuchali wtedy. Ciekawe, czy chłopcy zrobili już chronometraż zdarzeń. Pewnie nie, trzeba to sprawdzić”. Włączył magnetofon. Nie przepadał za dyskotekową muzyką, wołał jazz, ale gdy się nie ma co się lubi... Rozłożył na biurku płachtę ze szkicem sytuacyjnym willi i ogrodu. „Taki znowu wielki to ten ogród nie jest, a gubili się w nim. cholera, jak w tajdze. Trzeba pogadać z Kozakiem i Ostankiewiczem. Szczególnie z tym drugim. Nie pił. był trzeźwy”.

Rozkład willi pamiętał dobrze; na dole trzy pokoje (w tym jeden duży), kuchnia i sanitariaty, na górze tylko ogromna pracownia z przylegającą do niej pakamerą (tą, w której by! cały ten sprzęt nagłaśniający) i mały pokoik, w którym właśnie...

Barnych wrócił dopiero pod wieczór. Opadł ciężko na krzesło, ścierał pracowicie nie istniejący pot z czoła i całym sobą manifestował bezgraniczne zmęczenie. „Pewnie z pół godziny przygotowywał się do tej sceny pod drzwiami” — uśmiechnął się do siebie Zadra, pochylony wciąż nad szkicem, udający, że nawet nie zauważył wejścia kolegi.

— Uff! — wyjęczał przypominając o sobie Barnych.

— Umówmy się, że już jestem wruszony. Co ciekawego?

— Wody... — porucznik nie dawał łatwo za wygraną. Zadra podsunął mu syfon. Barnych wyłopał prawie cały, choć ostatnią szklankę z ledwo już maskowanym przymusem.

— No, teraz lepiej. Złaziłem się jak...

— Do rzeczy, Marku, do rzeczy.

— Miałaś racje. Mówią o tej dziewczynie, i to sporo. Jedni mają ją za świętą, inni za dziwkę. Normalnie. Zdaje się, że lubiła sobie wypić, a i od chłopców nie uciekała specjalnie. Ale w robocie nie mieli do niej zastrzeżeń. No, może to tylko, że była, jak to ktoś powiedział: „zbyt pryncypialna”. Nikt ci tego wyraźnie nie powie, ale zdaje się, że nie wszystkim się to podobało. Przyjaźniła się głównie z Ostankiewiczem, tym

drugim scenografem. Kiedyś, zdaje się, byli razem, ale od kilku miesięcy już chyba nie. Przyjaźnili się tylko. Albo aż. Ostatnio kręcił się koło niej ten Kozak, drugi reżyser. I tu ciekawostka... — znacząco zawiesił głos.

— Śmiało. Marku; śmiało, nie musisz tak mnie oszczędzać. Postaram się mężnie przyjąć najstraszliwszą nawet rewelację.

— Otóż ten Kozak ma bardzo przyjemną żonę. Mówiąc między nami: rzadka jędra, brr! — Barnych aż wzdrygnął się w przesadnym obrzydzeniu.— Ta pani ma miły zwyczaj odwiedzania męża w pracy i robienia mu publicznych awantur z rękoczynami włącznie. Wszyscy już ją tam znają. Potrafi chodzić na skargi do dyrektora i wszystkich świętych, że niby spisek ladacznicy czyha na jej szczęście rodzinne. Patologiczna zazdrość. Ostatnio ulubionym przedmiotem jej ataków była właśnie Grałek... Swoją drogą, żal mi faceta, zdaje się, że jest pośmiewiskiem całej wytwórni...

— Tak, to może być motyw... — Chociaż na jego miejscu wołałbym rozstać się w ten przyjemny sposób z małżonką raczej... Pewnie nawet niedługo by siedział. Każdy sąd by go zrozumiał... chociaż ja wiem, przy obecnej feminizacji sądownictwa... Rozmawiałeś z nim?

— Nie chciałem w wytwórni. Będzie tu jutro o ósmej.

— Widzę, że wcześniej wyznaczasz mi początek pracy. Dziękuję. Przesłuchamy go w takim układzie razem — i widząc minę zamierzającego protestować Baraycha dodał pośpiesznie: — Nie dziękuj, nie trzeba. Co tam jeszcze? Co ze Stawskim?

— Z tym szwenkiem?

— Widzę, że opanowałeś już slang. Pewnie będziesz teraz robił .za. filmowca... Wróżę « ogromne powodzenie u ekspedientek i pomocy kuchennych.

— Dziękuję za dobre słowo. A z tym szwenkiem, szwenkiem uważasz — zaakcentował solidnie to słowo — to nic ciekawego. Zdaje się, że to jeden z nielicznych w tym gronie normalnych ludzi. Lubi wódeczkę i dziewczynki i niewiele go chyba poza tym interesuje. Z Grałek, nie licząc tego ostatniego wieczoru, nic go nie łączyło... Co tam jeszcze? Aha. ten Ostankiewicz to alkoholik, lecz się właśnie, dlatego nie pije. Tam jakiś dziwny układ dookoła niego, ale nie bardzo mogłem zorientować się, o co chodzi.

— Ze Staromłyńskim rozmawiałeś? Ciekawe, dlaczego robił podczas tego bankietu zdjęcia?

— W końcu jest fotografem...

— A ty milicjantem i też pewnie uwielbiasz na każdym przyjęciu bawić się w dochodzenie, tak?

— Masz rację, trzeba pogadać z facetem. To już wszystko. Jak na jedną wizytę to chyba nieźle... — wyraźnie domagał się pochwały.

— Zapomniałeś o Thorstein. Ona też była w willi, kiedy padły strzały. Tylko ona, Stawski, Kozak i Ostankiewicz mogli to zrobić. Pozostali siedzieli przecież przy ognisku. — Zadra uderzył dłonią w kopertę z wykonanymi przez Staromłyńskiego zdjęciami.

— Nie było jej dzisiaj w pracy... I w ogóle nic ciekawego o niej nie wiadomo. Przyjaźni się niby z Mrozem, ale zdaje się, że jemu już ta przyjaźń powoli przechodzi, z Gruchą pracuje od zawsze, przechodzą razem z filmu do filmu... Ja wiem? To chyba wszystko...

— Z Grałek lubiły się?

— Nie wiem, raczej nie, ona chyba z nikim się tam specjalnie nie lubi... Nikt mi nie potrafi nic więcej o niej powiedzieć. Nawet nie wiem, czy ma rodzinę...

— To akurat wiadomo ze wstępnego dochodzenia. Rozwódka. Mieszka w Łodzi z dorastającą córką. Tutaj zatrzymała się w „Grandzie”, podobnie jak Ostankiewicz,

— I tak cały czas mieszkają w hotelu?

— Na to wygląda, a co, też byś chciał?

— Jasne, światowe życie, bracie. To lubię...

— Po paru latach pewnie by ci się znudziło... No nic, na dzisiaj będzie, lecę. Zanieś jeszcze do laboratorium taśmy Kucharskiego i zeznania, niech zrobią chronometraż, i też jesteś wolny. A jutro, tak jak sobie zażyczyłeś, za kwadrans ósma. Bywaj — Zadra uniósł dłoń w przyjacielskim geście pożegnania i wyszedł zostawiając Barnycha mamroczącego coś tam, pewnie niezbyt dla szefa przychylnego, pod nosem.

Waldemar Kozak, lat 29, wykształcenie wyższe, zawód: reżyser filmowy:

...Przecież to bez sensu... Ja nawet nie umiem strzelać, nigdy w życiu nie miałem w dłoni pistoletu... Zresztą dlaczego, dlaczego miałbym ją zabijać...? Nie, to niemożliwe... Ona mówiła przecież, że nie może, że bardzo by chciała mieć dziecko, ale nie może... Tak mówiła... Nie wiem, nic nie rozumiem... Dlaczego mi nie powiedziała?... Nie wiem, chyba moje, w którym miesiącu?... Tak, na pewno, Ostankiewicz to czysto plato-niczna historia.

Może kiedyś... ale ostatnio na pewno... Nie, ona go nie kochała, to była przyjaźń raczej... Miała kompleks opiekuńczości. Ostankiewicz się do tego znakomicie nadawał. ...To długa historia. Uparła się, że go wyzwoli. Z nałogu dała radę, chyba dała, od Kucharskiego nie... To nie ma z tym nic wspólnego. ...Tak, odmawiam, proszę porozmawiać z Ostankiewiczem lub Kucharskim. Ja nie wtykam nosa w nie swoje sprawy. ...Przepraszam, nie chciałem pana urazić. ...Z Bożeną byliśmy razem od kwietnia... tak, cztery miesiące. ...Nie, żona nie wiedziała. Domyślała się może. Ale to tylko sprawa między nią a mną. Nikogo nie powinno to obchodzić. ...To nie ma z tym nic wspólnego. ...To już pana sprawa, nic na to nie poradzę. ...To bez sensu, proszę mnie nie straszyć, to niczego nie zmieni. ...Tak, wiem. ...Powiedziałem już i nie mam nic więcej do dodania. ...Od początku? ...No więc po odjeździe Kownasa zeszliśmy na dół, na ognisko. ...Tak, nie miałem ochoty siedzieć z nimi, woląłem pochodzić. No więc dobrze: byłem wściekły.

...Tak, i z Bożeną, i z tym idiotą Stawskim. Supersamiee, cholera. ...A gdzie tam, spił się i robił za męż-czynę, nigdy przedtem nic nie miał z Bożeną. Przedwczoraj zresztą też nie. ...Tak, Ostankiewicza widziałem, minęliśmy się raz czy dwa, ale nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie miałem ochoty. On zresztą też chyba nie. ...Nie, na górę nie wchodziłem. ...Udowodnić to tego nie mogę, ale to zdaje się pan powinien dowieść, że kłamię. ...Mówię panu, że nie wchodziłem!... Tak, pamiętam ten jazgot. ...Nie, no skąd mam niby wiedzieć? Może we wzmacniaczu coś nawaliło? Nie wiem. Ten huk musiał obudzić Bożenę, widziałem, że wstała. ...Przez okno, stałem na dole, naprzeciw. ...Nie, światła nie zapaliła. ...A później? Nie pamiętam dokładnie, chyba zaraz potem były strzały. Pobiegłem na górę. ...Nie, nie razem z innymi. Trochę później. Byłem dosyć daleko, Kiedy przybiegłem, oni już byli w pokoju, ...Tak. Thorstein była z nimi, a Ostankiewicz nie, przyszedł później trochę. ...No nie wiem, minutę, może pół. ...Nie. Stawski się nie obudził. Dopiero wy go ocuciliście, ale też chyba nie do końca. ...A skąd, na Boga, mam wiedzieć, kto to zrobił? ...Nikomus chyba nie zależało, komu mogło zależeć na jej śmierci? To wszystko bez sensu. Nic z tego nie rozumiem. Do tej pory chyba nie wierzę tak do końca, że to naprawdę... Wiem, że nie mam alibi. I co z tego? Proszę pana, ja nie jestem idiotą, zapewniam pana, że gdybym miał zabić, to miałbym alibi jak drut. Czterech świadków przysięgałoby panu, że byłem w tym czasie zupełnie gdzie indziej. Oczywiście, że tak. Przecież nie ma pan wątpliwości, że nie było to zabójstwo w afekcie. ...No właśnie...

Już od godziny przyglądał się pracy na planie zdjęciowym i wciąż nie bardzo mógł domyślić się celu większości działań członków ekipy. Trzykrotnie już zmieniano ustawienie reflektorów, a oto znów je przenoszą i to tam dokładnie, gdzie stały na samym początku. Również sztyld nad filmowym sklepem przewieszano już po raz drugi. Statystów pocących się w grubych paltach (widocznie na filmie ma być późna jesień)

przeganianio bez sensu z miejsca na miejsce. Otaczający plan tłumek gapiów zdradzał umiarkowane raczej zainteresowanie. Czekano na aktorów. Ale aktorów jeszcze nie było. reżysera zresztą również. Podjechała kolejna, trzecia już taksówka. Kierowca wysiadł, otworzył! bagażnik, z wyraźnym trudem wyciągnął pękata torbę fotograficzną i podał ją Staromłyńskiemu, który przebiegle odczekał chwilę w samochodzie — widocznie nie lubił się przemęczać. Pojawienie się Zadry przyjął niemal z radością — zawsze to pretekst, by jeszcze na chwilę pozostawić torbę w bagażniku. Odeszli na bok. Kapitan wyciągnął papierosy, ale tamten odmówił gestem dłoni, Przez jakiś czas stali tak w milczeniu. Zadra nigdy nie spieszył się zbytnio z zadawaniem pytań, najczęściej wołał z tym poczekać, przyjrzeć się dokładnie delikwentowi, jego zachowaniu... Czasami zastanawiał się nawet, czy nie ma jakichś sadystycznych skłonności, Najczęściej dochodził do wniosku, że jednak nie.

— Tak, słucham pana — Staromłyński nie wytrzymał, zaczął pierwszy. — O co jeszcze chodzi? Przecież już byłem przesłuchiwany ... — starał się być pewny siebie, agresywny nawet.

— Oglądałem pańskie zdjęcia. Ładne — Zadra—jakby nie dosłyszał słów fotografa. — Zawsze robi pan zdjęcia na bankietach?

— Nie zawsze. Czasami tylko. A co. nie wolno?

— Niech pan zgadnie. Do trzech razy.

— Wolno! Trafiłem?

— Za pierwszym razem. Gratuluję. Wiec dlaczego robił pan akurat tego wieczoru?

— Bo miałem ochotę. Nie zamierzam się nikomu tłumaczyć z tego, co robię i dlaczego.

— Oczywiście — Zadra pokiwał ze zrozumieniem głową. — Kto tu pilnuje porządku?

— Kierownik planu. Ten w tej czerwonej czapeczce. A o co chodzi?

— Niech mu pan powie, że pana dzisiaj nie będzie. Jutro także.

— Niby dlaczego?

— Bo jest pan zatrzymany — stwierdził spokojnie kapitan, nawet o jeden ton nie podnosząc głosu.

Fotograf zmieszał się wyraźnie, przez chwilę nie mógł wydusić z siebie słowa. Wreszcie uspokoił się trochę.

— Ale dlaczego?

— Szczerze? ... Bo mam taki kaprys — Zadra sprawiał wrażenie człowieka przyjemnie z siebie zadowolonego.

— Nie zrobi pan tego! Ja nie pozwolę...

— Założy się pan? — przerwał mu łagodnie kapitan. Odczekał chwilę, a widząc, że tamten zrobił się już bardziej skory do szczerzej pogawędki, zapytał raz jeszcze: — Więc dlaczego robił pan te zdjęcia?

— Widzi pan, nie chciałem o tym mówić — skwapliwie recytował Staromłyński — bo to taka moja mała tajemnica... Przygotowuję nową wystawę. „Trans”... Potrzebne mi były właśnie takie pijane, rozmłane twarze. Rozumie pan, że modele nie byliby zachwyceni... Przepraszam, że nie od razu. ale sam pan rozumie...

— Nic nie szkodzi. Cieszę się, że się dogadaliśmy. Pewnie pogawędzimy jeszcze sobie przy okazji. życzę powodzenia — Zadra pokiwał przyjaźnie dłonią i odszedł do swego wozu pozostawiając niezupełnie jeszcze uspokojonego, niepewnie patrzącego za nim fotografa.

Wareckiego zastał w przerobionej na warsztat stolarski piwnicy, dokąd skierowała go żona majora.

— Spędza tam ostatnio — mówiła Zadrze — niemal całe dni.

Nie zmienił się zupełnie. Przygarbiony lekko. powolny, uważny, czujny... jak przedtem. jak zawsze. Przywitał kapitana tak zwyczajnie, jakby ten przychodził codziennie, jakby umówieni byli na tę właśnie godzinę. Nie ponaglał, nie pytał o nic. Zadra przyglądał się wyposażeniu stolarni, podziwiał co zmysłniejsze urządzenia, przesadnym może nieco entuzjazmem starając się zagłuszyć kiełkujące w nim gdzieś taro, bez sensu przecież zupełnie poczucie winy. „W końcu nic mam sobie nic do wyrzucenia” — pomyślał z obrzydzeniem niema!. Tych właśnie nie znosił najbardziej, tych zawsze czystych, tych, którzy nigdy „nic mają sobie nic do wyrzucenia”...

— Sam to wszystko tak urządziłeś? Warecki odłożył hebel, otarł dłonie o fartuch.

— Ano, sam. Pomalutku. Emerytura to wspaniała rzecz. Polecam... O, widzisz, właśnie kończę wiezszak do przedpokoju... Tu będzie szafka na buty. Prawda, że ładne? Nawet nie wiedziałem, że jestem taki zdolny. Z czym przychodzisz? — zapytał jednym tchem, jednakowym tonem, nie przerywając nawet prezentacji. Zadra poczuł wyraźną ulgę, mógł przystąpić do rzeczy. Na tym gruncie mimo wszystko czuł się lepiej.

— Ty prowadziłeś sprawę wytwórni? Warecki wyprostował się, spojrzał na Zadrę uważnie, po czym wrócił do poprzedniej, jakby ochronnej pozycji. Zdjął z półki pierwszy lepszy przedmiot i zaczął oglądać go z niezwykłą uwagą.

— Tak mi się przynajmniej wydawało, ale okazało się, że to sprawa mnie prowadzi. I doprowadziła, jak widzisz... — mówił wolno, ważąc każde słowo.

— Sądziłem, że jesteś zadowolony...

— I słusznie. Nie, nie, bez przesady. Wszystko odbyło się w najlepszym porządku: i order był, i gratulacje... Tak... nie mogę narzekać... Więc co z tą wytwórnią? Czyżby wznowili sprawę?

— Nie, nie to, jest inna historia. Zastrzelono dziewczynę, asystentkę kierownika produkcji, Grałek. Bożenę Grałek.

— Życzę szczęścia, Marcin. Będzie ci potrzebne.

— Aż tak źle?

Warecki wzruszył ramionami. Wyjął z dłoni Zadry kartkę z listą osób objętych śledztwem, tylko rzucił na nią okiem i zwrócił.

— Daj papierosa.

— Przecież rzuciłeś... — Zadra wyciągnął z kieszeni paczkę mocnych. Sam też bardzo już potrzebował zaciągnąć się solidnie.

Major zapalił z nie ukrywaną satysfakcją.

— Niestety, wróciłem, Zacząłem ostatnio obrzydliwie tyć... A wracając do sprawy..., Obawiam się, że to niezupełnie nowa historia, boję się, że to raczej dalszy ciąg tej mojej. Może się mylę, w końcu nie znam sprawy, ale tamto nie mogło się przecież tak skończyć, nie mogło... Aha, żeby nie. było nieporozumień: rozmawiamy nieoficjalnie. Wiesz, co to znaczy. Oficjalnie to odsyłam cię do akt i sprawa zupełnie mnie nie interesuje. Rozumiemy się?

Zadra skinął głową. Poważnie, bez uśmiechu, bez wzruszenia ramionami nawet.

— Więc tak: to jest ta sama ekipa. Z wyjątkiem reżysera, Kowuasa. Oczywiście nie wszyscy byli zamieszani w aferę. Na pewno czysta była Grałek. To ona właśnie nadała tę histerię, żeby ratować Ostankie-

wicza, który pił wtedy strasznie i po pijanemu podpisywał wszystko, co mu podsunęto. Udało mi się uratować go. To chyba jedyny plus całej tej sprawy... A co do pozostałych, to już nie miałem okazji sprawdzić...

— Kontrolę przeprowadziłeś?

— Żartujesz, „Nie należy wzbudzać niepotrzebnej sensacji”. Premiera się zbliżała. A gołym okiem było widać, że tam się wszystko kotłuje, że cały ten film, to jedna wielka granda...

— I co o tym wszystkim myślisz?

— Mówiąc prawdę staram się nie myśleć. Zresztą, jak widzisz, mam mnóstwo roboty.

— Tak... No tak, dziękuję ci, stary — wyciągnął dłoń. — Pozwolisz, że wpadnę w tygodniu. Sto lat nie grałem w szachy.

— Wpadnij, oczywiście. Jadwiga się ucieszy. Jakoś rzadko ostatnio mamy gości. — Krótki, suchy uścisk dłoni i znowu zabrał się za przerwana wizytą Zadry robotę. Skupiony, z namaszczeniem wręcz, poleował jakiś detal. Do tego wieszaka pewnie.

Barnych zaparzył sobie właśnie kawę i zastanawiał się, czy dosypać trzecią łyżeczkę cukru, czy też dwie czubate powinny wystarczyć. Właśnie podjął decyzję (jednak dosłodzić) i zamierzał energicznie wprowadzić ją w życie, kiedy do pokoju wszedł Zadra.

Porucznik usiłował pochwycić szklankę, ale że trzymał właśnie w dłoni łyżeczkę — nie zdążył. Marcin jednym susem dopadł kawy i z nieskrywaną przyjemnością przystąpił do konsumpcji.

— Kochany jesteś, Mareczku. Akurat marzyłem o dużej czarnej. Nic uważasz, że to musi być telepatia? Jakies glosy słyszałeś?

— Wiesz, kto ty jesteś?... — Durnych wiedział, że nie ma najmniejszych szans na odzyskanie kawy, toteż poczucie niezawinionej krzywdy wezbrało, w nim bez miary. Jeszcze trochę by popracował, to i łyż na powiekach pojawiłyby się niechybnie... Zadra natomiast sprawiał wrażenie ogromnie z siebie zadowolonego.

— Nie przejmuj się, kolego. Jedna kawa w tę, jedna w tamtą... Zresztą powiem szczerze; wcale nie jest najlepsza, przesłodzona jakby trochę... — wiedział rzecz jasna, że Barnych ulepek taki właśnie uwielbia. — Ale nic to. Wypiję. Darowanemu koniowi... No, a tak poza tym, to co nowego?

— Chamstwo rozplenilo się potwornie. Nie uwierzysz, ale nawet tak zwani stróże porządku potrafią rękę wyciągnąć po cudze...

— Takie czasy. Też nad tym boleję. Thorstein dorwałes?

— W delegacji jest. W Łodzi. Nie wiadomo kiedy wróci..

— No nie! Chyba przesada. Im się wydaje, że to żarty, jak Boga kocham. Nie tylko im zresztą. Wyślij jej przez komendę łódzką wezwanie. Na jutro, powiedzmy na dziesiątą.

— O dziesiątej nie możesz. Ostankiewicz będzie.

— Widzę, że już nie umawiasz mnie tak wcześniej jak z Kozakiem. Bardzo rozsądnie. Tym bardziej że będziesz miał w tym układzie trochę czasu z rana. to pochodzisz po sąsiadach Kucharskiego. Może czegoś się dowiesz. A Thorstein wezwij na drugą. I niech tylko spróbuje się spóźnić... Wlepię jej taką grzywnę, że się nie pozbiera.

— Postanowiłeś być stanowczy? Gratuluję! Ciekawe tylko, dlaczego akurat na mnie musisz trenować...?

— Masz rację. Dlaczego? Wiesz, że nie wiem... Ale dobrze, zacznij rano od wytwórni. Przesłuchaj Stawskiego. Tylko ostro, bez żartów. Sąsiadów zrobisz później. Spotkamy się o dwunastej.

— Marcin, przecież to na jedno wychodzi... I tak muszę zacząć skoro świt... ,

— Marudzisz chyba. Człowiek idzie takiemu na rękę, a ten jeszcze kaprysi. No dobrze, niech ci będzie: dwunasta piętnaście.

Od początku przesłuchania zastanawiał się, czy Ostankiewicz jest tak zdenerwowany, podminowany, roztrzęsiony wręcz faktem rozmowy z oficerem miicji, czy też jest to normalny, zwyczajny stan u tego wychudzonego, czterdziestokilkuletniego starca. Bo choć jego rówieśników nierzadko można spotkać w dyskotecie, a nawet na sportowych arenach, nie ulegało wątpliwości, iż Bronisław Ostankiewicz jest starcem. Zmęczonym, schorowanym, rozdygotanym starym człowiekiem. Palił jednego za drugim wykruszone sporty, które upychał w sfatygowanej, brunatnej już cygarnicze. Zaciągał się nimi zachłannie, głęboko. Szczególnie teraz, kiedy się dowiedział..

— To niemożliwe... Nie, ona nie mogła być w ciąży. Powiedziała mi przecież! Dlaczego mi nie powiedziała? — I wyraz bezradności na jego no marszczącej twarzy. Nie, on rzeczywiście nic mógł o tym wiedzieć. Żaden człowiek nie mógłby grać aż tak... — To dlatego ode mnie odeszła. Nie chciała się dzielić. Sama! Wszystko musiała sama. Gdyby mogła, to sama by sobie to dziecko zrobiła... Tak, wszystko sama... Tę sprawę też sama chciała doprowadzić do końca. I doprowadziła. Do swojego.

— Mówi pan o *Dziennikach* ' ,

— Uparła się, że trzeba zacząć tam, gdzie wy skończyliście. Mówiłem jej, tłumaczyłem jak dziecku... ale gdzie tam... — machnął z rezygnacją ręką i wyciągnął kolejnego sporta.

— Pan też był zamieszany w tę sprawę..,

— Nawet skazany. Dostałem rok z zawieszeniem. Właśnie z okazji tego zawieszenia dałem się Bożenie namówić na esperal... Pan oczywiście wie, że jestem alkoholikiem?

Zadra skinał tylko głową. Nie chciał mu teraz przerywać.

— Bożena mi pomogła. Bardzo pomogła. Od pół roku, no, prawie pół, nie wypilem nawet kropli. Teraz już powinienem wytrzymać. Tak, teraz już wytrzymam... Gdyby jeszcze Bożena... Pan go złapie, prawda? Pan go musi złapać!

— Kogo?

— Mordercę.

— Domyśla się pan, kto to mógł być?

Ostankiewicz pokręcił przecząco głową, I znowu ten wyraz dziecięcej niemal bezradności na jego twarzy. Przez moment Zadra miał wrażenie, iż tamten rozplacze mu się za chwilę.

— Pan dużo wie, panie Bronisławie... Jeśli mi pan nie pomoże, nigdy nie skończę tej sprawy,.. — przerwał, zastanawiał się, co dalej, wreszcie, choć niechętnie, zdecydował się: — A jeżeli nie skończę, to przecież pan też nie będzie bezpieczny...

Nie spodziewał się takiej reakcji. Czoło Ostankiewicza pokryło się kropelkami potu, dłonie zaczęły dygotać, głosu z siebie wydobyć nic potrafił... Dopiero po chwili wyrzucił krótkimi, urywanymi zdaniami:

— Nie wiem. Nic nie wiem o tej sprawie. Nie chcę wiedzieć. Nic mnie to nie obchodzi. Bożena niepotrzebnie,.. Ja nic nie wiem!

Zadra postanowił zmienić temat. Bardzo liczył na Ostankiewicza, ale też żał mu było tego siedzącego naprzeciw, bezskutecznie usiłującego uspokoić dłonie człowieka. Wyciągnął z szuflady zdjęcia Staromłyńskiego.

— Podczas wstępnego dochodzenia zeznał pan, że gdy padły strzały, był pan przy ognisku. To nieprawda. Proszę — podał mu odbitkę. Ostankiewicz rzucił na nią okiem i odłożył na biurko. Wzruszył ramionami. Powoli dochodził do siebie.

— Rzeczywiście. Widocznie gdzieś odszedłem. Przecież to bez znaczenia.

— Myli się pan. Jest pan jedną z czterech osób, które nie były wtedy przy ognisku. Nie muszę panu tłumaczyć, jakie to ma znaczenie...

Ostankiewicz ponownie sięgnął po zdjęcie:;. Tym razem przyjrzał mu się uważniej.

— A więc: ja, Kozak, Stawski, Thorstein lub Staromłyński... Nie, Staromłyński nie, on przecież robił te zdjęcia. Więc ktoś z tej czwórki. Bzdura. Bzdura! — powtórzył głośniej.

— Tylko te osoby miały możliwość...

— Bzdura! — raz jeszcze z uporem powtórzył Ostankiewicz.

— Więc kto?

— Jestem już bardzo zmęczony. Źle się czuję. Ja się do pana zgłoszę za kilka dni. Na pewno się zgłoszę. Za kilka dni...

Zadra też był zmęczony tym przesłuchaniem, zresztą wiedział, że dzisiaj niczego się już od Ostankiewicza nie dowie.

Nie było sensu przeciągać tej rozmowy. Tak w każdym razie wtedy mu się wydawało...

— Oczywiście, panie Bronisławie. Na dzisiaj to już wszystko. Do widzenia panu.

Odprowadził Ostankiewicza do drzwi. Przez chwilę zastanawiał się, co dalej. Na początek postanowił otworzyć okno i przewietrzyć pokój. Wykonał kilka głębokich wdechów, wyprostował się i nagle wyprowadził w powietrze kilka błyskawicznych ciosów. Znakomity sposób na rozładowanie energii. Oczywiście na ten właśnie moment trafił Barnych.

— No, niezłe, stary, niezłe. Powiem więcej...

— Nie powiesz, cwaniaczku, nie powiesz. Przełożonych należy darzyć szacunkiem. A ja potrafię sobie ten szacunek wywalczyć... — i znów dwa ciosy w przestrzeń, po których wyimaginowany przeciwnik niewiele miałby już do powiedzenia. Barnych znakomicie udał przerażenie, prawie że jękać się zaczął, a i układny się zrobił nadzwyczaj.

— Oczywiście, Nie wątpię. Choć przyznam, że mam pewne zastrzeżenia co do metody...

— No cóż, zastrzeżenia wolno ci mieć. Byleby były konstruktywne. Są?

— Jak by ci tu powiedzieć...

— To może nie mów. No dobra, na razie wystarczy. Co masz ciekawego?

Barnych usiadł okrakiem na krześle, wyciągnął papierosa, obejrzał, z powrotem schował do paczki. Z jego twarzy znikł przyklejony zdawałoby się do niej na stałe figlarny uśmiech.

— Wiesz, Marcin, to zaczyna być męczące. Nie wiem, czy ty coś już w tym widzisz, bo ja naprawdę powoli głupieję... Rozmawiałem dziś ze Stawskim. Rzecz jasna nic. Nic nie wie, nic nie widział, nic nie pamięta, a tak w ogóle to nic go to wszystko nie obchodzi. Być może kłamie, ale ciekawy jestem, jak mu to udowodnić? Stary — porucznik wstał i przejętym od Zadry zwyczajem zaczął chodzić po pokoju — przecież ten facet przez cały czas był tam obok niej. To niemożliwe, żeby się nie ocknął! Jak ten magnetofon zaczął jazgotać, to na sąsiedniej ulicy było słychać. Strzały to samo. A gość spał jakieś dziesięć metrów od niej. To się, stary, w głowie nie mieści!

— Jeśli rzeczywiście był tak bardzo pijany... Szkoda, że nie kazałeś mu pobrać krwi...

Barnych zatrzymał się gwałtownie w pół kroku.

— Jestem kretynem — stwierdził z pełnym przekonaniem. — Kazałem, oczywiście, że kazałem. Malik specjalnie zrobił mu jakiś zastrzyk i przy okazji pobrał trochę krwi. To przecież musi być w raporcie!

I nie dając Zadrze szansy na żadne komentarze rzucił się do swojej szuflady. Błyskawicznie odnalazł właściwy arkusz, przebiegł go wzrokiem i, zniechęcony nagle, podał kapitanowi.

— Ponad trzy promile. Słabszy organizm mógłby się na tym ostro przejechać... Wygląda na to, że jest czysty... — porucznik wyraźnie oklapł.

— Albo przebiegły do szaleństwa. Strzela, później wypija duszkiem dwie butelki...

— I jedzie do rygi!

— Ja wiem? Przy dużej wprawie... Stawski jest kawalerem?

— Tak. Szanse na jakieś większe malwersacje też ma niewielkie. W scenografii, w produkcji, w pionie reżyterskim nawet, zawsze coś tam można załatwić, ale szwenkier,..?

— Chyba masz rację, z tego co wiemy — absolutny brak motywu. I możliwości chyba też. Inna sprawa, że ciągle diablo mało wiemy...

— A co z Ostankiewiczem?

— Niewiele. Później przesłuchasz taśmę. Z sąsiadami Kucharskiego gadałeś? Jest coś?

— Zgadnij, — Barnych wyraźnie nie był dzisiaj w najlepszej formie. — Kto dzisiaj wie coś o sąsiadach? Mówiłem ci już, że i jazgot magnetofonu i huk strzałów słyhać było wyraźnie. Nic więcej. Aha, ktoś tam twierdzi, że na dwa dni przed tym przyjęciem słyszał jakieś strzały w ogrodzie Kucharskiego, ale równie dobrze mógł to być gaźnik... Dla nas nic z tego nic wynika.

— Jaki samochód ma Kucharski?

— Volkswagen ..Rabbit". Na ropę. Po co ci to?

— Tak się pytam. Zamożny człowiek. Muszę z nim jeszcze pogadać. To wszystko?

— Ano wszystko. Rozmawiałem nawet z tym taksówkarzem, który odwoził Kownasa do domu. "Rzecz jasna pudło. Nie miał najmniejszych szans wrócić. Nawet helikopterem. Mieszka w Aninie. Pan reżyser też oczywiście ma willę.

— Nie żałuj mu. Tobie też nikt nie bronił iść do szkoły filmowej i robić filmy. A on robi i to ponoć niezłe. Akurat jemu nie zazdroścę.

— Masz rację, czepiam się. Zaczyna mi już to wszystko działać na nerwy. Ze też na nas musiało to spaść.

— Rzeczywiście, wesoło to to nie wygląda. No nic, zobaczymy, co nam powie Thorstein. Powinna być za pół godziny.

Monika Thorstein, lat 38, wykształcenie wyższe, zawód: organizator produkcji filmowej:

...Ja już zeznawałam przecież. O co jeszcze chodzi? Ja mam ważniejsze sprawy... Dobrze, już dobrze. Przepraszam. ...Pracowałam z Grałek od dwóch lat, była moją podwładną. W sprawach służbowych nie miałam do niej poważniejszych zastrzeżeń... A to już moja sprawa! ...No więc dobrze, powiem panu: to była taka mała kurewka. Każdy ją miał. Kto tylko chciał i kiedy chciał. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że jej

specjalnie żałuję! ...A co Andrzej ma do tego? ...Nie wiem, czy mu dała... przepraszam: czy spała z Mrozem, czy nie i zupełnie mnie to nie interesuje! ...To nie powinno nikogo obchodzić! Przyjaźnię się, czy nie, to tylko moja sprawa! ...Zapewniam pana, że Grałek nie miała z tym nic wspólnego. Andrzej ma nieco wyższe wymagania. Zresztą wcale się z nim nie pokłóciłam. Weszłam do domu, bo chciało mi się pić. Po prostu! ...Nie, nikogo na schodach nie spotkałam. ...Nie, światło było zgaszone. Nie zapalałam, nie mogłam znaleźć kontaktu,—...No więc usłyszałam te strzały..Na półpiętrze.....Byłam wtedy na półpiętrze. Usłyszałam strzały i od razu zbiegłam na dół. ...Bałam się! Pan by się nie bał? ...Nie wiem, nie pamiętam, co sobie wtedy pomyślałam. ...Nie, nie myślałam o kimś konkretnym, nawet nie wiedziałam, kto tam jest na górze. Przestraszyłam się po prostu. ...Później weszliśmy tam wszyscy razem. ...Już mówiłam panu, że jeśli chodzi o pracę, to nie miałam do niej specjalnych zastrzeżeń! ...Nic nie wiem o jej problemach. Ani zawodowych, ani tym bardziej prywatnych. Nie zwracała mi się! Nie utrzymywałam z nią żadnych stosunków pozasłużbowych. Mówiąc prawdę, to nie wiem, dlaczego w ogóle Kucharski ją zaprosił. Jego sprawa. Czy to już wszystko? ... Już raz pana prosiłam, żeby nie mieszać do tej historii moich prywatnych spraw! Jeśli to pana tak bardzo interesuje, to proszę rozmawiać z Andrzejem Mrozem. Ja nie mam tu nic więcej do dodania! ...Owszem, pracowałam przy „Dziennikach Historycznych”, ale co to ma wspólnego... O ile wiem. Śledztwo zostało zakończone, zresztą nie pamiętam już dokładnie szczegółów tamtej historii. Nie, nie byłam objęta dochodzeniem. ...Tak, naganę służbową. Za brak nadzoru niby. Potrącono mi dwadzieścia pięć procent nagrody. Ale jaki to ma związek z Grałek?

Barnych skończył przesłuchiwać taśmę, wyłączył magnetofon. Przez chwilę siedział w milczeniu kiwając tylko w zamyśleniu głową.

— I co o tym sądzisz? — ponaglił go Zadra.

— Wygląda na to, że ta cała Bożena sama się zastrzeliła... — porucznik wzruszył ramionami. — Ty naprawdę sądzisz, że Thorstcin mogła to zrobić?

— A ty?

— Nie wiem. W winę Ostankiewiczza nie wierzę. On chyba do końca się w niej kochał...

— Może właśnie dlatego?

— Że niby był zazdrosny? Nie sądzę. Za bardzo jej potrzebował... Boję się, że bez niej nie wytrzyma z tym esperalem.

— Stawski? Kozak? — Zadra znowu rozpoczął swój marsz po pokoju. Cztery kroki do okna zwrot, cztery kroki ku drzwiom, zwrot... Ale Barnych, pogrążony w myślach, nawet nie zwrócił na to uwagi.

— Jeżeli już, to raczej Kozak... Sam zresztą nie wiem. Motyw bardzo wątplutki...

— Więc jednak Thorstcin...

— Musiałyby mieć stalowe nerwy. Wbiec do domu. strzelić, zamknąć pokój, zbiec na dół... Poza tym, nie wystawiałyby się chyba tak łatwo, nie sądzisz?

— Sądzę, to mi się właśnie nie zgadza. — Zadra był już wyraźnie podenerwowany. — Cholera! Tylko cztery osoby miały szansę to zrobić, a nie wierzę, że to któreś z nich właśnie... Stawski i Ostankiewicz nie mieli motywu. Kozak nader wątplutki, a Thorstcin, nawet jeśli miała motyw, to musiałaby być przecież wyjątkową idiotką, żeby akurat tak tę Grałek załatwiać. Bez sensu!

— W zasadzie, to każdy z nich musiałby być idiotą, i to takim kompletnym, do końca... No, może poza Stawskim, ten ma przynajmniej cień alibi, ale pozostali...

— Chyba że coś tam się jednak podczas tego bankietu zdarzyło i morderca musiał działać natychmiast... — Zadra zatrzymał się naprzeciw Barnycha i zaczął się w niego intensywnie wpatrywać. Porucznik

zaczął się już niepokoić dziwnym zachowaniem szefa, szczególnie kiedy spostrzegł, iż tamten wcale go nie widzi, że patrzy jakby przez niego, w przestrzeń, której przecież w ich pokoju nie było...

Ale Zadrze szybko powrócił zwyczajny wyraz twarzy.

— Pojadę do Kucharskiego. Może rzeczywiście nie wszystko jeszcze wiemy o tym całym przyjęciu. A ty odwiedź tego operatora, absztyfikanta Thorstein, Andrzeja Mroza. Dowiedz się, jakie tam były — czy też są — układy między nimi. Czy pani Monika była bardzo zazdrosna, zresztą co ci będę mówić... No, zbieraj się. wychodzimy! — zaczął popędzać Barnycha, jakby każda sekunda stała się nagle bezcenna.

Niemal wypchnął porucznika z pokoju i pociągnął ku schodom. W ostatniej chwili zdążył się Barnych uczeplić poręczy, ratując jeśli nie życie, to przynajmniej zęby. Nie zamierzał pędzić jak wariat po schodach. Zbyt szanował swoje zdrowie i pozycję. Ale nie zdążył już wytłumaczyć tego Zadrze, który pognął na dół nie oglądając się na rozsowniejszego kolegę.

Ożywienia wystarczyło Zadrze akurat na tyle, by zbiec po schodach. Przed komendą zatrzymał się już jednak niezdecydowany. Tak prawdę mówiąc, nic bardzo było po co spotykać się z Kucharskim... A działać, aby działać... Nie lubił wykonywać ruchów pozornych — wymyślił sobie kiedyś, że jest pragmatykiem (później nawet sprawdził, co znaczy to słowo), a biegać bez sensu, udawać aktywność, by ktoś tam to zauważył, by komuś się przypodobać — nic. na to był i zbyt ambitny i zbyt leniwy. Oczywiście zrobił to, co każdy, no powiedzmy: prawie każdy, zrobiłby na jego miejscu. Przystanął pod pretekstem papierosa, zapalił i po głębokim namyśle, którego wynik znał, rzecz jasna, z góry. postanowił udać się jednak do Kucharskiego.

Gospodarz nie zawiódł jego oczekiwań. Wyciągnął whisky, lód także się znalazł, a i carmeny nawet, choć Kucharski w zasadzie nie palił i nie pił i dla towarzystwa tylko, tak jedną szklaneczkę, papieroska jednego, żeby gość się skrepowanym nie poczuł.

Toteż Zadra nie krępował się i skutecznie zwalczył w sobie zastrzeżenia co do celowości wizyty u scenografa. Gawędzili więc sobie zupełnie swobodnie, ani na chwilę rzecz jasna, o co już Zadra zadbać potrafił, nie oddalając się od zasadniczego tematu. Żarty żartami, a praca pracą.

— Mówiąc prawdę mało znałem tę Gralek i, jeśli mam być szczerzy, niespecjalnie lubiłem. Jak by to powiedzieć... nie do końca akceptowałem jej styl bycia i szczodroblowość, z jaką rozporządzała swoim ciałem. Ja, widzi pan, jestem człowiekiem starej daty... Nie umiem cenić kobiet, które po pijanemu kładą się z każdym, kto się nawinie...

— O ile się zorientowałem, więcej w tym było płótek niż prawdy. Znacznie więcej. Wie pan, że nawet się zastanawiałem, dlaczego niektórzy rozpowiadają o niej te niestworzone historie? Tak, jakby koniecznie chcieli ją zdezwuować... Co pan o tym sądzi?

Ale że za całą odpowiedź Kucharski wrzucił ramionami tylko. Zadra kontynuował:

— No dobrze. Proszę opowiedzieć raz jeszcze przebieg przyjęcia. Od początku.

— Ale przecież ja już wszystko...

— No właśnie — przerwał mu kapitan. — To teraz powtórzenie nie sprawi już panu kłopotu, prawda? — uśmiechnął się uprzejmie i uniósł szklaneczkę w geście serdecznego toastu.

Kucharski chcąc nie chcąc zaczął raz jeszcze opowiadać przebieg owego feralnego bankietu. Zadra przymknął oczy, poprawił się wygodnie w fotelu i bez reszty zdawał się być pogrążony w przyjemnym leżeniu. Toteż Kucharski przerwał na moment, lecz kapitan natychmiast łagodnym gestem poprosił o kontynuowanie. Zgodnie jednak z oświadczeniem scenografa nic nowego z tej powtórki nie wynikło. Zapadło milczenie. Dopiero po dłuższej chwili Zadra odstawił whisky, sięgnął po kolejnego papierosa i przystąpił do dalszej pogawędki, czy też indagacji — jak kto woli.

— A jaka, pana zdaniem, mogła być przyczyna tej nagłej zmiany natężenia dźwięku?

— Pojęcia nie mam. To naprawdę znakomity sprzęt.

— No właśnie...

— Może zwarcie jakiegoś? A może Stawski się ocknął i nastawił na pełną moc? Doprawdy nie wiem...

— Tak też sobie pomyślałem — wymruczał Zadra i powrócił leniwie do poprzedniej pozycji.

I znówu milczenie. Nieprzyjemnie przeciągające się. Gospodarz, mimo swych rzeczywiście nienaganych manier, zaczął zdradzać lekkie objawy zniecierpliwienia. Opróżnił popielniczkę, poprawił — bezsensownie zupełnie — serwetę na stoliku, wreszcie delikatnie acz znacząco chrząknął.

— Ładnie pan mieszka — stwierdził ocknąwszy się wreszcie Zadra, niezbyt chyba dyskretnie rozglądając się po ogromnej pracowni.

— Rzeczywiście, nie najgorzej. Poza tym mam dobry samochód i nawet dom za miastem. O to panu chodziło?

— Owszem.

— Muszę pana rozczarować — nie ma w tym żadnej metafizyki. Po prostu dobrze zarabiam.

— A konkretnie?

— Za ostatni rok miałem średnią ponad dwadzieścia tysięcy miesięcznie. A pan?

— Mniej. Jest pan człowiekiem samotnym?

— Nie, skąd. Żona z córką są na wycieczce w Grecji. Za kilka dni powinny wrócić. A wracając do finansów, to żona również pracuje, a poza tym od czasu do czasu współpracuję z zachodnimi firmami. Wystarczy? — Kucharski nie potrafił już ukryć rozdrażnienia.

— Nie wiem... Mnie by wystarczyło, ale wie pan, jak to jest ...No nic, dziękuję panu ślicznie za gościnę i przepraszam, jeśli się zasiedziałem — Zadra niechętnie podniósł się z fotela i z pewnym żalem pożegnał wzrokiem ledwie' co napoczętą butelkę. — Serdecznie dziękuję.

Już przy furtce. Kucharski, odprowadzający gościa jak na dobrego gospodarza przystało, zatrzymał się na chwilę:

— Nie wiem, czy pamięta pan, kapitanie, o moich taśmach? Kiedy otrzymam je z powrotem? Widzi pan — córka wkrótce przyjedzie, to dla niej właśnie ten cały hałaśliwy sprzęt...

— Myślę, że już niedługo. Ustalaliśmy na ich podstawie chronometraż wydarzeń. Chyba już nie będą potrzebne.

— Polecam się, panie kapitanie — Kucharski uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem i serdecznie, prawdziwie serdecznie uścisnął dłoń oficera.

Kiedy Zadra, już w połowie cichej uliczki, przy której stała willa, obejrzał się za siebie, Kucharski stał wciąż przy furtce wpatrując się w mrok.

Kilka następnych dni nie przyniosło wiele nowego, Zadra wyciągnął z archiwum akta prowadzonej przez Wareckiego sprawy *Dzienników Historycznych* i wertował je z równą zaciekłością, co niechęcią. Brnął z trudem przez nie kończące się kolumny cyfr, wyjaśnienia, opinie ekspertów i kontr ekspertów oraz inne równie ekscytujące materiały. Nie uważał się wcale za wystarczająco wprowadzonego w tę problematykę, zresztą z przestępczością gospodarczą niewiele miał dotąd wspólnego, jednak wiedział już — choćby po rozmowie z Mołodyszem — dosyć, by zorientować się, iż dokumentacja jest, delikatnie mówiąc, niepełna...

Że urywa się w miejscu, w którym na dobrą sprawę powinna się dopiero rozpocząć. ...Że zeznania niektórych osób (szczególnie . Sidwy, dyrektora wytwórni) trudno w ogóle uznać za zeznania złożone w poważnym bądź co bądź Śledztwie... Że w zasadzie całą aferę niepotrzebnie rozpętano, bo nic się w końcu takiego nie stało... a o te kilka milionów robić od razu taki raban... Beż sensu.

Mimo wszystko była to jednak lekturą pouczającą. Do sprawy Grałek nie wносиła wprawdzie nic, albo prawie nic, o czym by Zadra już przedtem nie wiedział, lecz do tak zwanej „wiedzy ogólnej” młodego oficera — owszem, wiele.

Barnych natomiast nie miał powodów do narzekań. Zadra, by mieć święty spokój, kazał mu „rozglądać się w środowisku” i trzeba przyznać, iż porucznik wywiązywał się z tego zadania z podziwu godnym poświęceniem. A to głównie spędzając długie godziny wieczorne w SPATiFie, a nocne w „Ścieku na Trembackiej” (dyskretny urok legitymacji otwierającej, wrota zamkniętych dla nie stowarzyszonych — lokali). Odbijało się to. wyraźnie na jego kondycji tak fizycznej, jak i psychicznej, ale Barnych zawziął się i pełnił tę niewdzięczną służbę bez słowa skargi, f co nie mniej istotne: zupełnie bezinteresownie, społecznie wręcz! Raz tylko spróbował przedłożyć kapitanowi do akceptacji rachunek ze SPATiFu^ później nic wpadał już jakoś na takie pomysły. Zrozumiał, że służba. wymaga poświęceń...

— jak to najczęściej. bywa — więcej dla śledztwa dobrego wynikło z poczynań Barnycha,— niż z mrówczej pracy Zadry. Przede wszystkim .udało mu się (no, może niezupełnie formalnie) przesłuchać Andrzeja Mroza. Operator nie starał się nawet ukryć, iż romans z Thorstcia to typowa historia „na jeden film”, ot tak, żeby z nudów nie umrzeć, jak się elegancko wyraził. Że tak naprawdę, to jest statecznym małżonkiem i ani mu w głowie odchodzić od żony. A Monika swoim nadspodziewanie poważnym podejściem do tego... jak by tu powiedzieć... mm... flirtu, narobiła mu już wystarczająco dużo kłopotów. I właśnie wtedy, u Kucharskiego, powiedział jej to wyraźnie. Wydawało mu się, że wystarczająco wyraźnie, ale ... no mniejsza z tym. To już definitywnie skończona historia. A Grałek nie miała z tym wszystkim nic, ale to absolutnie nic wspólnego. Lubił ją, owszem, ale ani dobrze znał, ani mu się specjalnie podobała. Bardzo mu żał tej dziewczyny... Była jedyną... — i tu się zaciął. Barnych domyślał się, że on sporo wie o tym, co się dzieje w ekipie, lecz starał się, z powodzeniem, jak można przypuszczać, nie dopuszczać tej wiedzy do siebie. Podpisywał bardzo niewiele dokumentów, a każdy oglądał przedtem trzy razy, najchętniej pod światło. Poza tym koncentrował się wyłącznie na swojej robocie: zdjęcia, montaż, konsultacje z Kownasem...

No właśnie: Kownas. Porucznikowi nie udało się porozmawiać z nim tak półprywatnie, nieoficjalnie, jak zamierzał. Mówiąc prawdę, cała znajomość skończyła .się na tym jednym, najzupełniej niestety formalnym przesłuchaniu. Niemniej z rozmów z innymi członkami, ekipy wynikało, że również reżyser przyjął tę samą, co Mróz, nieco oportunistyczną taktkę... I jego także interesowało tylko, to, co na taśmie. Wszystko inne to sprawa dykcji wytwórni i kierownictwa produkcji filmu. Jemu nic do tego. On jest artystą i — odpowiada wyłącznie za artystyczny kształt serialu. I tylko za to. Na przepisach, biurokracji, wszystkich ewentualnych szwindlach i machlojkach się nie zna i nie chce się znać. Od tego są inni. On nie kradnie. I nie musi. i nie chce. Ale pilnować, łapać za rękę nikogo nie zamierza. A jeżeli już coś się stanie, to obchodzi go to tylko o tyle. o ile może naruszyć mu tok realizacji.

Rzecz jasna ani Kownas, ani operator nigdy by się do takiej postawy publicznie nic przyznali, ale ludzie sporo widzą i umieją wyciągać wnioski. Czasami nawet słuszne. Barnych uznał, że choć takie podejście do pracy i życia nie do końca jest może zgodne z ideałami głoszonymi choćby przez filmy Kownasa właśnie, to jednak ze sprawy Grałek obu tych panów w zasadzie eliminuje. Tym bardziej że nie mieli fizycznej możliwości .zabicia jej — obaj. gdy usłyszano strzały, byli przecież zupełnie gdzie indziej. Zadra w pełni zgodził się z tą argumentacją, nie ukrywając jednak, iż właśnie ów brak możliwości przemawia do niego silniej, niż bezcenne skądinąd spostrzeżenia i refleksje porucznika.

Bardziej natomiast rozmowny niż Kownas czy Mróz okazał się Stawski. Tak, ten i chciał, i lubił mówić... Niestety, do powiedzenia miał raczej niewiele, w każdym razie na interesujące oficerów tematy. I choć Barnych niemal się z nim zaprzyjaźnił — łączyły ich. jak się prędko okazało, pewne wspólne upodobania — to niczego nowego dowiedzieć się od niego nie zdołał. Młody kamerzysta traktował swą pracę w filmie, pierwszą po szkole, jak dobrą zabawę. Bardzo lubił swój zawód, bawiła go praca na planie, a reszta... Do reszty stosunek miał ugruntowany — jak twierdził — od dawna... Mimo całego zaufania do szefa Barnych wolał nie precyzować dokładnie, jaki. Uznał, że ani to jego branża, ani ze sprawą Grałek ma cokolwiek

wspólnego (ów stosunek Stawskiego do „całej reszty”). Rzecz jasna sympatia do szwenkiera (jak go z upodobaniem cały czas nazywał) nie przeszkodziła Barnychowi szukać motywu, czy choćby śladu motywu, jaki mógłby mieć Stawski. Bez skutku. Ani cienia nawet. Z Grałek — wszystko na to wskazywało — nie miał nigdy nic wspólnego.

A więc, jeśli w to wierzyć (a obaj oficerowie ku temu się skłaniali), krąg uchodzących w rachubę osób znacznie się skurczył. Tym bardziej że po rozmowie Barnycha z Kozakiem tego ostatniego również można było w zasadzie wyłączyć. Otóż

Kozak uzmysłowił sobie i nie omieszkął przy pierwszej nadarzającej się sposobności zwierzyć się z tego porucznikowi, iż jednak ma coś w rodzaju alibi... No, może nie „fizyczne”, takie bardziej — jak się wyraził — „psychologiczne”, ale jednak... Już trzy tygodnie temu, czyli grubo przed tym nieszczęsnym przyjęciem, wystąpił o rozwód. Nawet pozew Barnychowi pokazał; data się zgadzała: pismo zostało zarejestrowane 17 lipca 1980 roku w kancelarii XIV Wydziału Rodzinnego Sądu Rejonowego dla Miasta Stołecznego Warszawy. A przecież o żadnym innym motywie poza tym „romansowym”, również w wypadku Kozaka, raczej nie mogło być mowy.

A wiec Thorstein lub Ostankiewicz...

Mimo że tak mało znalazł Zadra w aktach sprawy *Dzienników Historycznych*, a może właśnie dlatego, że tak mało, postanów ?1 porozmawiać z kilkoma jej bohaterami.

Na początek wybrał Mariana Jońca, odsiadującego właśnie kilkuletni wyrok w Białolece. Liczył na to, że może teraz usłyszy trochę więcej, że nie związany już układami rekwizytor zdecyduje się i mówić. Że może uda się jednak rozbić ten nie naruszony wciąż mur, skrywający przed niepożądanymi kulisy obu tych związanych z wytwórną spraw. A nic miał żadnych wątpliwości, że on też, może teraz nawet przede wszystkim on, należy do owych „niepożądanych”.

Od kilku już minut czekał w rozmównicy. Wreszcie okute drzwi („wrzeczadze” — pomyślał Zadra) otworzyły się i strażnik, którego twarz zdradzała, iż nie jest raczej miłośnikiem współczesnej poezji i muzyki awangardowej, wprowadził! więźnia.

Joniec wyglądał młodo, nawet bardzo młodo. Niewysoki, szczupły, krótko przystrzyżony, bardziej chłopiec niż doświadczony już przecież przez życie mężczyzna. Wypreżył się przed Zadrą w postawie zasadniczej, stuknął sabotami i zameldował się regulaminowo: — Joniec Marian, syn Albina.

Kapitan podszedł do niego, podał rękę, przedstawił się i wskazał krzesło przy długim, zajmującym ponad połowę izby stole. Sam usiadł obok, nie naprzeciw. Wyciągnął extra—mocne, poczęstował. Chłopak przyjął papierosa, zapalił, zaciągnął się głęboko z nie skrywaną przyjemnością, lecz z jego twarzy nic nie znikł wyraz źle maskowanej nieufności. Tym razem Zadra odstąpił od swego zwyczaju przeciągania początku przesłuchania. Od razu przystąpił do sprawy:

— Pan był rekwizytorem w *Dziennikach Historycznych*, prawda?

— Niestety...

— Znał pan Bożenę Grałck?

— Tak... koleżanka z pracy... byłej pracy. Była u mnie niedawno, jakiś miesiąc temu. A o co chodzi?

— Nie żyje. Prowadzę Śledztwo.

Zadra był przyzwyczajony, iż takie oświadczenie prawie zawsze robi wrażenie, duże wrażenie... Że ludziom, mimo całej niechęci do milicji — co do tego nie miał już złudzeń — rozwiązują się jednak języki... Że słowo to działa niemal magicznie, tak bardzo boją się wszyscy, prawie wszyscy, posądzenia o najlżejszy choćby związek ze zbrodnią.

Lecz Joniec nie wyglądał ani na zaskoczony, ani na przerażony. Posmutniał tylko, o ile to w ogóle było możliwe, bo ani przez chwilę nie był przecież wesoły, i pokiwał głową, jakby dowiedział się o czymś strasznym wprawdzie, ale nieuniknionym, może spodziewanym nawet.

— Nie jest pan zaskoczony? Wie pan coś o tym? — Zadrze nie przyszło jakoś na myśl nic mądrzejszego. Żadne takie sławne, wspaniałe pytanie, aleksandryjskim cięciem rozwiązujące najtrudniejszą sprawę.

— Można powiedzieć — Joniec mówił wolno, zastanawiając się nad każdym niemal słowem — że spodziewałem się. Ostrzegałem ją nawet. Tak... Nie mogli jej kupić, to ją...

— Kto?

— Oni, panie kapitanie. Oni. Ci sami, którzy mnie tutaj posadzili, ci sami, którzy ukręcą łeb każdemu, kto wejdzie im w drogę. Jak będzie trzeba, to i panu również... — uśmiechnął się lekko, niemal porozumiewawczo, do kapitana. Niewiele było w tym uśmiechu szacunku i wiary we wszechsiłę, ale Zadra nie zamierzał się obrażać. Zaczynał rozumieć, że ten człowiek może mieć rację.

— Pomoże mi pan?

— Nie, nie pomogę. Mogę panu tylko zaszkodzić, pomóc nie jestem w stanie. Ja nie chcę już z tym wszystkim mieć nic wspólnego. Odsiedzę swoje i pójdę gdziekolwiek, choćby rowy kopać, a z wytwórnią nie chcę mieć nic wspólnego.

— O czym rozmawiała z panem Bożena?

— O wszystkim i o niczym. Tak ogólnie, jak to na widzeniu — kłamał i nawet specjalnie nie starał się tego ukryć.

— Słuchajcie, Joniec, wiem, że Grałek zbierała informacje w sprawie nadużyć w wytwórni. To może być bardzo ważne. Komu mogło aż tak bardzo zależeć na jej śmierci? Niech mi pan pomoże znaleźć mordercę...

— Już panu powiedziałem, panie kapitanie, że nie mogę panu pomóc. Mógłbym tylko zaszkodzić. Jeślibym cokolwiek panu powiedział, jedynie miałby pan z tym kłopot... Szkoda kariery...

— Nie martwcie się o moją karierę. Dam sobie radę. Jeśli opowie mi pan wszystko, odnajdę mordercę, a wtedy będzie też można wrócić do waszej sprawy. Rozumiemy się?

— Rozumiem, oczywiście. Już jeden od was wszystko to mi opowiadał. Nazywał się Warecki. Niech go pan ode mnie pozdrowi. ...Ja już chcę wrócić pod celę.

Dalsze przekonywanie nie zdałoby się na nic. Nie trzeba było skończyć psychologii, by to zrozumieć. Zadra przywołał strażnika. Joniec odmeldował się regulaminowo i wyszedł prowadzony ciepłym spojrzeniem promieniejącego miłością do zwierząt i ludzi więziennego strażnika.

Postanowił nie uprzedzać Ostankiewiczza o swojej wizycie. Zdawał sobie doskonale sprawę, jak wiele od tej rozmowy zależy, a znając już z pierwszego spotkania nie najlepszy stan nerwów drugiego scenografa chciał nadać tym „odwiedzinom” możliwie towarzyski charakter. Byli w końcu umówieni na rozmowę „za parę dni”. Zadra uznał, że trzy to właśnie —parę” i że nie należy dłużej czekać.

Recepcjonistka w hotelu nawet nie musiała zaglądać do księgi, by podać numer pokoju Ostankiewiczza („w końcu jest tu niemal stałym mieszkańcem” — pomyślał Zadra). Zerknęła na tablicę, stwierdziła, że klucza nie ma na swoim miejscu i z niezupełnie chyba służbowym uśmiechem poinformowała, że gość powinien być u siebie. Kapitan oddał uśmiech i przez moment chciał nawet wzmocnić go chwilą niezobowiązującej pogawędki, ale zrezygnował, albo ściślej: odłożył na później. Czul na sobie spojrzenie (zawiedzione — w co nie wątpił) recepcjonistki, więc zamiast statecznie skorzystać z windy wbiegł dziarsko, lekko, niemal zwiewnie po schodach. A zagrał się tak bardzo, że nie zwolnił nawet, gdy dawno już znikł jej z pola widzenia. Dosyć długo musiał później uspokajać oddech, zanim zapukać już mógł do drzwi pokoju numer 383.

Cisza. Więc jeszcze raz: trochę mocniej i dłużej, ale ciągle spokojnie, bez żadnych złych przeczuć. I nadal nic. Bardziej zniecierpliwiony niż niespokojny ujął klamkę, nacisnął, bez oporu ustąpiła — wszedł.

Ciemno. Odczekał kilka sekund, przyzwyczał wzrok, dwa kroki przez pusty korytarz i pokój. Też ciemny, duszny, wypełniony smrodem tanich papierosów i wódki. „Wódka!” — skojarzył natychmiast. A do tego po chwili oddech chrapliwy, urywany, niedobry...

Rzucił się do kontaktu, znalazł, przekręcił: światło. Nie musiał się rozglądać, by spostrzec: na stole popielniczka — pełna, obok butelka i szklanka — puste, pod stołem druga butelka. Przewrócona. Również po „żytniej”. Na łóżku Ostankiewicz: sina, nabrzmiała twarz, usta otwarte, z trudem, łapczywie pijące powietrze, dłonie konwulsyjnie wczepione w pościel...

Otworzył okno na oścież. On także potrzebował powietrza. Teraz telefon (przez chusteczkę — o tym pamiętał) — wezwał karetkę reanimacyjną, później Barnycha z ekipą. Odłożył słuchawkę. Teraz przyszło najgorsze. Musiał czekać. Tylko czekać. Nie mógł, nie potrafił pomóc umierającemu obok człowiekowi. Obawiał się, że po takiej dawce nikt już nie będzie w stanie mu pomóc. Próbował wprawdzie robić sztuczne oddychanie, lecz nie miał złudzeń, że bardziej dla siebie, niż dla niego to czyni.

Czekał krótko. Nawet podejrzenie krótko. Karetka przyjechała po siedmiu minutach. Lekarz (młody, szczupły, poważny), kiedy usłyszał, że pacjent ma wszyty esperal, nie zadawał już żadnych więcej pytań. Położyć go kazał na noszach i natychmiast wieźć do szpitala. Wychodząc, w biegu, rzucił kapitanowi swoje nazwisko i już go nie było.

Zadra spojrział na zegarek. „Siedem po ósmej. Wcześniej” — pomyślał. Po chwili z ulicy usłyszał przeciągły jęk syreny. Podeszedł do okna, ale karetka znikła już za rogiem. Odetchnął głęboko kilka razy. Nie wiele to pomogło. Czuł się zmęczony. Bardzo zmęczony.

Barnych z ekipą zjawił się również nadspodziewanie szybko. Spostrzegłszy wyraz twarzy szefa zrezygnował z zadawania jakichkolwiek pytań i zabrał się wraz z ludźmi do zwykłej, rutynowej roboty. Zadra nie zamierzał im asystować. Zlecił podporucznikowi przesłuchanie personelu hotelu, kazał dzwonić do siebie wieczorem i wyszedł zamykając za sobą cicho drzwi. Na dół zszedł również po schodach, lecz tym razem znacznie już wolniej, niż na górę. Ociężałę wręcz. Na uroczą recepcjonistkę nawet nie spojrział.

Już od trzech godzin czekali na wiadomość ze szpitala. Barnych co chwilę zerkał na zegarek — nie znosił beczynności, a tylko to jedno mógł w tej chwili robić. Doktor Mojrys powiedział wyraźnie: „Przed dwudziestą drugą nie będę mógł udzielić żadnych konkretnych informacji”. Czekali więc.

Już od ponad doby pacjent nie odzyskiwał przytomności. I wciąż nie było pewności, czy kiedykolwiek ją odzyska. Ogromna dawka alkoholu, zrujnowany organizm...

Zadra przechadzał się po pokoju miarowo, jak automat niemal. Cóż z tego, że kiełkujące w nim poczucie winy nie miało przecież żadnego rozsądnego uzasadnienia? Wiedział o tym, powtarzał to sobie nawet, lecz samopoczucie miał wciąż raczej takie sobie.

Barnych wstał, zaczął grzebać w szafie, wreszcie — wyciągnął z niej zajęte u Kucharskiego taśmy. Nałożył jedną na magnetofon, puścił — cisza. Pokręcił gałką potencjometru — nic, przesunął taśmę — nadal cisza. Nie była nagrana. Zdziwił się, obejrzał uważnie oznakowanie — to była właśnie ta, którą zdjęli z magnetofonu Kucharskiego. Zamierzał nawet zwrócić na to uwagę Zadrze, ale ten nie miał teraz ochoty rozmawiać o niczym i tylko pogonił porucznika, by puścił cokolwiek, bo posną. Choć tak naprawdę to senność nie groziła im wcale. Barnych nałożył więc inną taśmę, na której była nagrana jakaś wyjątkowo jazgotliwa muzyka dyskotekowa. Słuchali jej z umiarkowaną przyjemnością. Dzwonek telefonu był wystarczającym pretekstem, by magnetofon wyłączyć. Odebrał Zadra.

— To z laboratorium. Zrobili już analizę—wódki na dnie szklanki w pokoju Ostankiewiczza — były tam resztki dwóch gatunków: „żytniej” i „śliwowicy”. To na razie wszystko. Ekspertyza mikrośladów będzie na jutro. Raport również.

— To dziwne, stary. Butelki po „śliwowicy” przecież nie było — Barnych zaczął odzyskiwać energię. Uznał, że znowu można będzie przystąpić do działania. Zawsze uważał, że wszystko jest lepsze od tego beznadziejnego marazmu.

— Ano właśnie. Ktoś wyniósł.

— Czyli samobójstwo odpada. Przypadek również. Mordercę zaczynają ponosić nerwy.

— Niekoniecznie. Mógł pić z kimkolwiek. Z jakimi przygodnie poznanym gościem, który mógł nawet nie mieć pojęcia o esperalu Stankiewicza. Nie ma co się podniecać, kolego — Zadrze nie udzielił się jakoś nastroj podwładnego..

— I co? Klient wyniósł pustą butelkę, tak?. Pewnie kolekcjoner...

— Mogło trochę zostać. Ostankiewicz się zważył, to gość sobie poszedł zabierając resztkę wódki na pocieszenie,

— No, może. — Barnych był wyraźnie nie przekonany, ale że nie mógł wynaleźć żadnych argumentów, więc jedyne, co mu przyszło do głowy, to spojrzeć ponownie na zegarek. Dwudziesta druga sześć. Można już było dzwonić do szpitala. Wybrał powoli numer, poprosił Mojrysa. Lekarz długo nie podchodził. Zaczął się niecierpliwić, nerwowo wybijał na białce biurka jakiś skomplikowany rytm— Wreszcie doktor Mojrys zjawił się przy aparacie. Mówił cicho, głosem zdradzającym ogromne znużenie: ..Pacjent nadal nie odzyskał przytomności. Stan wciąż bardzo ciężki... Tak. można mieć nadzieję. Nadzieję można mieć zawsze.

Była to już druga wizyta Zadry na planie zdjęciowym, toteż znacznie mniej rzeczy mogłoby go jeszcze dziwić. Tak mu się w każdym razie zdawało. Nie bardzo mógł tylko zrozumieć, do czego może im być potrzebny bojowy wóz strażacki. Nie sądził, by chcieli urządzać w środku miasta jakieś fajerwerki. I to w samo południe, w obecności kilku setek gapiów. Zastanawiał się właśnie nad tym, gdy strażacy skończyli rozwijać wąż. podłączyli go do wozu i najspokojniej w świecie zaczęli polewać ulicę i przylegające do niej chodniki i klomby białą pianą. Dokładnie. Metr za metrem. Po chwili cały teren pokryty był pianą. Nic miał pojęcia, czemu to miało służyć? Jakiś wyjątkowo wyrafinowany sposób zabezpieczenia przeciwpożarowego? Bzdura. Dopiero gdy ujrzał opatulonych w grube futra statystów — zrozumiał. Panowie filmowcy postanowili w samym środku lata kręcić sceny dziejące się zimą, a piana miała imitować śnieg. „Pewnie lato skręcili już podczas zimy. Dla wygody tak” — pomyślał i obiecał tobie solennie, że już niczemu, co związane z filmem, nie będzie się dziwił.

Trwając tak w niemym zachwycie nic zauważył nawet, kiedy podszedł do niego Grucha. Kierownik produkcji zatoczył się lekko, poklepał Zadrę poufale po plecach i uśmiechnął się szeroko, radośnie. Gołym okiem było widać, że jest na niezłym rauszu i że w tym stanie jeszcze bardziej niż zwykle,—wręcz już totalnie, aprobuje siebie. Tak, ten człowiek najwyraźniej darzył siebie gorącą sympatią i nic zamierzał tego ukrywać.

— Witam, witam serdecznie pana kapitana. I co tam, panie, dobrego?

— Niewiele. Ostankiewicz jest w krytycznym stanie.

— To było do przewidzenia. Pić, panie, trzeba umieć! I po cholere wszyl sobie ten esperal? I tak wiadomo było, że nie wytrzyma. Tak, pić trzeba umieć...

— A pan, rozumiem, umie...

— Co mi pan tu będziesz... — Grucha wzruszył ramionami, wyciągnął paczkę papierosów i zapalił nie częstując kapitana. — Jakbyś pan tak pracował jak ja, tobyśmy mogli porozmawiać!

— Ma pan rację. Rzeczywiście mamy różne podejście do pracy. Przy okazji: ukłony od majora Wareckiego. (Zadra wiedział doskonale, iż podczas śledztwa nie należy dopuszczać do siebie sympatii czy an-

typatii wobec osób objętych dochodzeniem, ale jakoś nie mógł się zdobyć na zimny, bezosobowy stosunek do Gruchy. Nie lubił go. najzwyczajniej w świecie nie znosił i już).

Grucha zrobił się nagle czujny. Przybrał skupiony i — jak to określił Zadra — „wrednie przebiegły” wyraz twarzy,

— Dziękuję. Dziękuję za pamięć. A swoją drogą, jak pech to pech, ledwo się jedna sprawa skończyła, a tu następna, jeszcze gorsza.

— O ile wiem, tamta sprawa jeszcze się nie skończyła...

— Tak pan sądzi? — Grucha zawiesił na kapitanie uważne, taksujące spojrzenie.

Od odpowiedzi zwolniło Zadrę pojawienie się Kucharskiego, który wysiadł z taksówki naprzeciw nich i nie mógł się już wycofać, choć przez chwilę wydawało się, że ma na to ogromną ochotę. Podeszedł więc. przywitał się poważnie i żeby zająć czymś myśli i dłonie wyciągnął, jak Grucha przed momentem, paczkę carmenów i otwierając ją zaczął powoli, uważnie. Kierownik produkcji wyraźnie ucieszył się z przyjazdu scenografa, widocznie nie miał specjalnej ochoty na kontynuowanie rozmowy z Zadrą.

— O Ostankiewiczu już słyszałeś? Pan kapitan właśnie w tej sprawie...

— No właśnie, akurat teraz musiał... Chory człowiek, chory człowiek... A przecież nic tego nic zapowiadało. Spotkaliśmy się rano w pracowni, omówiliśmy następne obiekty. Nawet odwiozłem go do hotelu, koło trzeciej chyba. Zachowywał się zupełnie normalnie. Skąd mogłem przypuszczać? Że też akurat teraz musiał ...

— No właśnie, czas wybrał sobie nieszczególny, trzeba przyznać — Grucha pokiwał potakująco głową. — Ja się z nim wczoraj w ogóle nie widziałem. Cały dzień byliśmy z Thorstein w Łodzi. Wróciliśmy po dziewiątej dopiero. Na nasze szczęście, prawda, panie kapitanie?

Zadra nie potrafił już ukryć rozdrażnienia. On też nic miał ochoty na dalszą rozmowę z tymi panami. Pożegnał się chłodno i ruszył ku zaparkowanemu nie opodal służbowemu samochodowi. Wsiada! już, kiedy podbiegł do niego zdyszany Staromłyński. Przystanął z nie najmądrzejszym raczej uśmiechem na twarzy i nie bardzo wiedział, jak zacząć. Dopiero po chwili udało mu się jakoś pozbierać:

— Dzień dobry, panie kapitanie. Wie pan, mam do pana taką małą sprawę...

— Tak, słucham...

— Pamięta pan naszą rozmowę...? ...O tych zdjęciach z przyjęcia?... Pamięta pan?

— Tak, oczywiście. O co chodzi?

— Widzi pan, ja wtedy nie wszystko panu powiedziałem... To znaczy powiedziałem, ale chyba niezupełnie tak, jak to naprawdę było... No, co tu dużo mówić: skłamałem!

. — Tak...

— Ta historia z wystawą to nie do końca prawda... To znaczy prawda, ale nie o to chodzi... To Ostankiewicz właśnie prosił, żebym robił wtedy te zdjęcia. Nie chciałem mówić, bo... — zawiesił głos, wpatrywał się teraz niespokojnie w kapitana..

— Rozumiem. Dziękuję, że jednak się pan zdecydował. Czy Ostankiewicz uzasadniał jakoś swoją prośbę?

— Nie, zupełnie nie. Poprosił po prostu. Wie pan, jemu trudno było odmówić. Wiedziałem, że nie robi tego dla żartu. Jeszcze raz przepraszam, panie kapitanie... Czy pan myśli, że gdybym od razu powiedział...

— Nie wiem. Teraz to już nieistotne. A przepraszać to chyba głównie siebie pan musi, bo Ostankiewicza, być może, nie będzie już pan miał okazji... Niemniej dziękuję panu. Do widzenia.

Zatrzasnął drzwiczki i ruszył nie czekając na odpowiedź Staromłyńskiego. W lusterku dojrzał jeszcze, jak tamten stoi w nienaturalnej trochę pozie, z wyciągniętą dłonią, której Zadra podać nie zdążył i z którą teraz nie bardzo wie, co zrobić.

Z notatek w kalendarzyku Ostankiewicza oraz z listów (na szczęście nie niszczył) znalezionych w jego pokoju wynikało, iż poza Bożeną miał jednak pan Bronisław jednego jeszcze przyjaciela. Zadra postanowił nie odkładać na później rozmowy z nim, Chyba zaczynał ostatnio tracić wiarę w sprzyjające mu do tej pory szczęście. Wolał nie prowokować losu.

Wacław Kawecki, architekt, rówieśnik i przyjaciel Ostankiewicza od zawsze, od przedszkola niemal, mieszkał w starym, jeszcze przedwojennym spółdzielczym domu przy jednej z cichych żoliborskich uliczek.

Wprowadził kapitana do dużego, znakomicie urządzonego pokoju, wskazał fotel, zaproponował kawę, a kiedy stała już na stoliku przed nimi, ' usiadł obok i w skupieniu oczekiwał na pytania.

Był chyba pierwszym świadkiem występującym w tej sprawie, który sprawiał wrażenie, iż rzeczywiście dopomóc chce sprawiedliwości. Niestety, o środowisku, aferach, rozgrywkach w wytwórni wiedział niewiele, prawie nic, tyle tylko, co mu od czasu do czasu opowiadał Ostankiewicz. Ale rzadko rozmawiali na te tematy, woleli raczej — jak przyznał z pewnym zażenowaniem — wycieczki w przeszłość. Jediną osobą z tego kręgu, którą poznał, była Bożena Grałek. Polubił ją nawet, dobrze się z nią gadało, choć widział ją raptem dwa czy trzy razy...

— Bronisław bardzo przeżywał jej śmierć, nie mógł się z nią pogodzić... Tak, ostatnio był w bardzo złej formie, ale żeby samobójstwo i to w ten właśnie sposób? Nie, to niemożliwe! Ostankiewicz był człowiekiem głęboko wierzącym. I praktykującym. Nie, nigdy by się na to nie zdecydował! Rozmawialiśmy nawet kiedyś na ten temat, ot tak, teoretycznie tylko — był zdecydowanym przeciwnikiem samobójstwa. Podobnie zresztą, jak każdej innej formy zadawania śmierci. Pamiętam, że zaczęliśmy rozmowę od eutanazji, a później przeszliśmy do przerywania ciąży (oczywiście też był przeciwny) i samobójstwa... Nie, nie wierzę, żeby to zrobił!

A poza tym on przecież okropnie się przejął tym esperalem. Zaczął się bać tego swojego picia, po prostu bać. Dlaczego, do jasnej cholery, jak już się zdecydował pić, to nie wypruł sobie csperalu? Nic z tego nie rozumiem. A jak z nim teraz? Czy jest szansa?

— Bez zmian. Wciąż jeszcze nie odzyskał świadomości — Zadra wyciągnął kolejnego papierosa i długo i uważnie przyglądał mu się, nim wreszcie zapalił. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, pogrążeni w niewesołych myślach.

— No nic, może do najgorszego nie dojdzie — Zadra, choć niechętnie, powrócił do tematu. — Może zechciałby pan opowiedzieć mi teraz trochę

O Ostankiewiczu. Wszystko, co uzna pan za istotne, niekoniecznie nawet związane z filmem. Wie pan, jest taka teoria...

— Wiem. Interesowałem się trochę wiktimologią. Analiza osobowości ofiary może czasami wskazać mordercę, tak?

— Raczej przyczynę zbrodni, ale to często na jedno wychodzi. Więc gdyby był pan tak uprzejmy...

Kiedy nie było takiej potrzeby, kiedy widział dobrą wolę rozmówcy. Zadra rezygnował z narzuconej sobie agresywności. Niestety, raczej rzadko zdarzała mu się taka okazja.

— Cóż, to długa historia. Pochodzimy z Bronisławem z jednych stron, razem chodziliśmy do; szkoły, razem zdawaliśmy na architekturę, razem studiowaliśmy. Ostankiewiczowi bardzo wcześnie, umarli rodzice — matka w obozie, ojciec. w więzieniu, w pięćdziesiątym trzecim. Musiał sam sobie dawać radę. I dawał. I to dobrze, nawet za dobrze. Wszedł w kontakt z jakimś prywaciarzem i robił dla niego projekty. Nawet nie wiem, jakie — ja nie byłem aż tak zdolny jak on, musiałem poświęcać na naukę znacznie więcej czasu, nie

miałem go na nic więcej... A jemu wszystko przychodziło łatwiej, znacznie łatwiej. Dość, że miał sporo czasu i pieniędzy. Właśnie wtedy zaczął pić. W tym czasie wszyscy lubiliśmy sobie pociągnąć, ale on trochę bardziej niż inni. Z początku w niczym mu to nie przeszkadzało. Studia skończył bez problemów, nagrodę nawet wziął jakąś za swą pracę dyplomową. Razem zaczynaliśmy w biurze projektów i dosyć szybko dostaliśmy samodzielne opracowanie. To jeszcze były dobre czasy dla architektów. Przyszły pierwsze sukcesy, niewielkie jeszcze, ale zawsze. Bronisław bardzo starannie opijał każde osiągnięcie. Za którymś razem przesadził — przez tydzień nie pojawił się w biurze. Wylali go. To jeszcze nie był problem — pracy było wtedy dużo. Tyle że powtarzało się to coraz częściej. W końcu w Warszawie nie mógł się już nigdzie załapać. Wyjechał w Polskę. Oczywiście pić zaczął jeszcze bardziej. To było gdzieś tak w połowie lat sześćdziesiątych. Właśnie wtedy poznał Kucharskiego, który zaproponował mu pracę filmie. No i zaczęło się na dobre. Pracowali zawsze razem, przechodzili razem z filmu do filmu. Ostankiewicz stał się etatowym „drugim” Kucharskiego, dla którego był to bardzo wygodny układ. Rzecz jasna Bronisław pił cały czas. A Kucharski pomagał mu, tuszował afery, krył, zawsze potrafił załatwić jakąś sprawę z kierownikiem produkcji. I równocześnie pilnował, by Ostankiewicz przypadkiem nie przestał pić. No i stało się. Ostankiewicz po jakimś czasie nie mógł już funkcjonować samodzielnie. Nie utrzymałby się w żadnym filmie. W żadnej innej pracy zresztą też nie. Zbyt rzadko bywał trzeźwy. Nie umiał już inaczej rozpocząć dnia, niż od ćwiarteczki na czczo. Pamiętam — zmusiłem go kiedyś do zjedzenia śniadania. Zwymiotował wszystko, od razu: To już była choroba. Po prostu. Ale fachowcem był wyśmienitym. I chociaż trudno to sobie wyobrazić — bardzo solidnym. Prawdopodobnie rzecz polegała na tym, że film stał się całym jego życiem. Dosłownie. Tylko to go interesowało. Poza wódką, rzecz jasna. A Kucharski ciągnął go ze sobą od filmu do filmu wykorzystując niemilosiernie i uzależniając coraz bardziej od siebie.

— To chyba przesada — Zadra po raz pierwszy przerwał Kaweckiemu. — I Ostankiewicz tak mu pozwalał? Jeśli rzeczywiście był taki dobry... Czy to trochę nie tak, jak z opowieściami pucybutów, bez których dobrych rad panowie oficerowie nigdy by sobie nic poradzili.

— Ostankiewicz był rzeczywiście dobry w tym fachu, nawet bardzo dobry. Niech pan nie zapomina, kapitanie, że Bronisław był naprawdę wybitnie uzdolnionym architektem. A Kucharski, z tego, co o nim wiem, to zwyczajny hochsztapler. Artystyczny i nie tylko zresztą. Nawet studiów nie skończył, wyrzucili go po pierwszym roku. Funkcjonuje, bo ma znakomite układy, a całą robotę odwała za niego Ostankiewicz. Przecież to właśnie za projekty Bronisława do *Władcy* Kucharski wziął nagrodę prezesa. Nie mówiłbym, gdybym na własne oczy nie widział, jak ten projekt powstawał. Niestety, tak to wygląda. Lecz jest przecież coś takiego jak dyscyplina pracy. A on pod koniec, przed tą historią z Bożeną, pił już naprawdę nieprzytomnie. Potrafił zniknąć na tydzień, albo i na dłużej. Gdyby nie Kucharski, każdy kierownik produkcji wyrzuciłby go od razu. Nawet nie byłoby rozmowy! Przy tym po tylu blach tego typu układów musiały zaistnieć pewne mechanizmy psychiczne. Ostankiewicz zaczął traktować swoje uzależnienie od Kucharskiego, również psychiczne, jako rzecz naturalną. A i Kucharski nie jest przecież głupcem, potrafił odpowiednio sterować całym procesem. Zresztą .być może na swój sposób też przywiązał się do Ostankiewicza. .

— A jak znalazła się w tym układzie Bożena?

— Ja wiem? Bardzo serdecznie zajęła się Bronisławem. Ona w ogóle była chyba bardzo opiekuńcza. Udało się jej wyciągnąć go z pijaństwa i na pewno próbowała wyzwolić go też z zależności od Kucharskiego. Ale tutaj nie dała rady, sprawy zaszły za daleko... Ostankiewicz sam już chyba nie wierzył, że mógłby zaistnieć bez swojego protektora, czy może lepiej powiedzieć: „pana” Bożena nie mogła się z tym pogodzić. Możliwe, że to był jeden z powodów ich rozstania. Chociaż też nie ostatecznego przecież. Nadał się przyjaźnili, Bożena nadal się nim w pewien sposób opiekowała.

Nic da się ukryć, że tylko dzięki niej pozwolił sobie wszyć ten esperal i do tej pory nie wypruł go widelcem w toalecie jakiejś knajpy. A teraz? Jak się to stało? Jak to się mogło stać? Przecież już pół roku, już wydawało się, że da radę. Dlaczego? Jak pan myśli, kapitanie, dlaczego?

Ale na to pytanie nie było odpowiedzi i Kaweckie doskonale o tym wiedział; nie oczekiwał jej. Znowu zapadło milczenie, które przerwał gospodarz proponując po małym koniaku. Lecz Zadra nie miał ochoty ani na alkohol, ani na przeciąganie wizyty. Zrobiło się już późno, a chciał dziś jeszcze pomyśleć trochę o całej tej sprawie. Już przy wyjściu usłyszał (w odpowiedzi na nie pozbawione zazdrości gratulacje pięknego mieszkania, jakie złożył architektowi), iż takie właśnie, przestronne, wysokie, trzypokojowe mieszkania

budowały kiedyś zwykle spółdzielnie robotnicze. Mieszkali w nich robotnicy, niezamożni ludzie pracy... Dziś były luksusem nawet dla znakomicie zarabiającego architekta, a już zupełnie nierealnym marzeniem dla też przecież dobrze uposażonego oficera. „Przeżywamy obecnie okres niebywałego w naszych dziejach rozkwitu społecznego, ekonomicznego i kulturalnego” — Zadrze przypomniało się zasłyszane we wczorajszym dzienniku zdanie.

Postanowił przejść parę przystanków piechotą, jakoś nie miał ochoty wracać od razu do domu — mieszkał na Ursynowie, w nowoczesnym ogromnym, gazobetonowym bloku, w mieszkaniu pod kryptonimem M—4, którego wielu czekających piętnasty czy szesnasty rok w najdłuższej kolejce świata bardzo mu zazdrościło.

— Tak, gdyby to jeden z nich był ofiarą, gdyby nie to, że Kucharski w chwili zabójstwa był na dole, a Ostankiewicz nie wiadomo gdzie... to może i byłoby to coś warte, ale tak... — Barnych nie był specjalnie rozentuzjasmowany relacją kapitana z wizyty u Kaweckiego. Owszem, wysłuchał z zainteresowaniem, po kiwał głoną w zadumie nad ludzkim losem, lecz większej wagi do .opowieści architekta nic przykładał. Prawdę mówiąc Zadra również nie. Gorzej. Obaj nie bardzo wiedzieli, co dalej. Na razie czekali na kolejne meldunki ze szpitala i z laboratorium, przeglądali z nudów papierzyska i coraz częściej warczeli na siebie bez powodu.

Zadra wiedział, że jeśli w miarę szybko nic rozsypła tej sprawy, nie rozsypła jej nigdy. Może kto inny, ale na pewno nie on. I tak dobrze, że nie miał jeszcze przyjemnego telefonu z wezwaniem na jeszcze przyjemniejszą rozmowę. Z niepokojem spojrzął na terkoczący właśnie aparat, ale nie, tym razem jeszcze nie, to tylko doktor Mojrys zawiadamiał, że stan Ostankiewicza nie uległ zmianie. I wciąż nie wiadomo, czy ulegnie.

Stawski, jak to bywa najczęściej, wpadł przypadkiem. Zwykła, rutynowa kontrola drogowa. Coś się tam dyżurnemu funkcjonariuszowi nie spodobało, postanowił wóz obejrzeć dokładniej. Znalazł jakieś nietypowe zadrapanie, a że Stawski zaczął się dziwnie nerwowo zachowywać — zatrzymał go, a samochód oddał do przeglądu... ów funkcjonariusz pamiętał widocznie (co skądinąd było jego obowiązkiem), że taki właśnie ceglasty fiat spowodował kilkanaście dni temu wypadek—noc, wąska podmiejska szosa, nadmierna szybkość, pieszy idący prawidłowo lewą stroną jezdni, potrącenie, ofiara do szpitala, a sprawca w siną dal.

Na szczęście byli świadkowie. Numeru nie dostrzegli, ale kolor i markę — tak. Jak również i ,to, że prowadził młody mężczyzna i że obok kierowcy siedział pasażer, a raczej pasażerka i też chyba niestara, choć dokładnego opisu dać nie potrafili. A kiedy okazało się — co nie było trudno ustalić — że zdjęcia odbywały się tego dnia w Kołbieli. że trwały do zmroku i że wracać trzeba było stamtąd ta właśnie trasą, Stawski przestał zaprzeczać, a zaczął się usprawiedliwiać.

Jak można się domyślać, średnio mu się udało zmiękczyć serce śledczego, na którego wniosek prokurator jeszcze tego samego dnia podpisał decyzję o zastosowaniu środka zapobiegawczego — aresztu tymczasowego. Istniało uzasadnione podejrzenie, że sprawca działał w stanic nietrzeźwym. Stawski próbował zaprzeczać, lecz bez specjalnego chyba przekonania. Co jednak istotniejsze, najbardziej płatał się w zeznaniach dotyczących pasażerki. Twierdził z uporem godnym lepszej sprawy, że była to nieznajoma, „na łebka”, że na pociąg jej się bardzo śpieszyło i dlatego jechał tak szybko, że nie widział jej nigdy przedtem ani potem i że niedokładnie pamięta jak wyglądała

No taka... ja wiem, w średnim wieku, średniego wzrostu, ani gruba, ani chuda... włosy miała, ale nic za długie, a ubrana była... no tak. normalnie..."

Rzecz jasna nikt mu nie wierzył. I słusznie. Kiedy przesłuchano bowiem kilku członków grupy zdjęciowej, wszyscy stwierdzili zgodnie, że Stawski tamtego dnia odwoził Bożenę Grałek, która źle się czuła i wołała nie czekać na autokar, odwożący ekipę do Warszawy. Dwa dni później odbyło się owo feralne przyjęcie u Kucharskiego.

Na szklance z pokoju hotelowego (tej, na której dnie znaleziono resztki wódki) ujawniono odciski palców Ostankiewicza. Na butelkach nie było żadnych. Drugiej szklanki nie było — a powinna być, „na stanie” są dwie przecież. Poza tym w pokoju znaleziono mnóstwo śladów, lecz głównie starych: (Stankiewicza i hotelowych sprzątaczek. Barnych triumfował — nie miał już wątpliwości, że poza gospodarzem w pokoju był ktoś jeszcze. Ktoś musiał wszak wynieść jedną szklankę i zetrzeć ślady z butelek. Zadra, tak dla zasady bardziej, wysuwał jeszcze różne kontrargumenty, ale w gruncie rzeczy on też był przekonany, iż samobójstwo to to nie było. Ktoś musiał Ostankiewicza namówić, czy może wręcz zmusić do picia. Ktoś musiał z nim pić. a później pożegnać się dyskretnie zacierając ślady.

Właśnie po raz kolejny porucznik domagał się, by Zadra przyznał mu rację i poświadczył, że on, Barnych, od razu wiedział, że to nie żaden przypadek, lecz usiłowanie morderstwa i to morderstwa z premedytacją, kiedy zameldowano z dyżurki, że zgłosił się Andrzej Mróz. Chce rozmawiać z kapitanem Zadrą.

Andrzej Mróz, lat 47, wykształcenie wyższe, zawód: operator filmowy.

Przedwczoraj, to jest jedenastego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, około godziny dwudziestej... nie pamiętam dokładnie, trochę przed, gdzieś tak za piętnaście ósma. Przyszedłem do hotelu, do Bronisława Ostankiewicza. Byliśmy umówieni. Bronek miał mi zrobić projekt domku letniskowego. Kupiłem działkę nad Narwią, nieważne... No więc przyszedłem, zapukałem, nikt nie odpowiadał, pomyślałem sobie, że może śpi. Więc wszedłem. Spostrzegłem, co się stało i... No po prostu,— osłupiałem. Chyba się przestraszyłem, Wiedzą panowie, jaka atmosfera panuje w ekipie po tej historii z Gratek. Kiedy trochę ochłonałem, zacząłem rozglądać się po pokoju, ale nic podejrzanego nie zauważyłem. Wziąłem więc tubę z projektami... tak, to ta właśnie, specjalnie przyniosłem, proszę bardzo... i wyszedłem. Na dole z automatu zadzwoniłem po pogotowie... Ja przepraszam, że nie od razu, ale dopiero dzisiaj, ale rozumieją panowie... Bardzo mi przykro — Nie, nic dotykałem niczego. Tylko tę tubę wziąłem. Nawet światła nie zapalałem. Na korytarzu nie spotkałem nikogo. Ani jak wchodziłem, ani jak wychodziłem. ...Nie, w ogóle nikogo znajomego w hotelu nie spotkałem. Czy ja już mogę wyjść? ...A co mają z tym wspólnego moje stosunki z Moniką?... Rozumiem, w porządku. Zresztą nie bardzo jest już o czym mówić. Posprzeczaliśmy się wtedy na przyjęciu u Kucharskiego i cała historia skończyła się. A ja nie miałem ochoty jej odnawiać. Po co? ... Grałek znałem słabo, a Ostankiewicza — owszem, dobrze. Ładnych kilka filmów razem robiliśmy... Nie, za przyjaźnieni nie byliśmy, wie pan, z nim jeszcze nie tak dawno nie dało się chyba przyjaźnić zbyt rzadko bywał trzeźwy, ale można powiedzieć, że lubiliśmy się. To w gruncie rzeczy bardzo miły i uczynny człowiek. Naprawdę lubiłem go... Tak, przepraszam: lubię. Jak on się teraz czuje ...Przykro mi, ale obawiam się, że nie jestem w stanie pomóc panom. Nic nie wiem o jego wrogach. Naprawdę nie wiem, kto mógłby go namówić... Może ten ktoś nie wiedział o esperalu Ostankiewicza? Jeśli wolno, to chciałbym jeszcze zapytać: czy Stawski został zatrzymany na dłużej? ...Tak, oczywiście, rozumiem, tylko widzi pan... kończymy zdjęcia, Stawski jest bardzo potrzebny, to wyjątkowo zdolny chłopak, więc jeśli nie jest to coś poważnego... Rozumiem, przepraszam...

Przez chwilę po wyjściu operatora siedzieli w milczeniu, poczym równocześnie jak na komendę sięgnęli po przyniesioną przez niego lube Oslankiewicza. O ułamek sekundy szybszy był Barnych, czego nie omieszkął podkreślić zwycięskim spojrzeniem, rzuconym kapitanowi. Lecz przesadnych powodów do radości nic było — w tubie znaleźli tylko parę projektów (w tym kilka domków letniskowych) i trochę rysunków. Jeden z nich, raczej szkic ołówkiem na kartce papieru, zwrócił uwagę Zadry: dwa małe portreciki — karykatury Kucharskiego i Gruchy. Tyle że stylizowane dziwnie: niskie czółka, tępe spojrzenia, wyraz obsesyjnej bezmyślności na twarzach Niczym ilustracje do sławnej niegdyś teorii „mordercy urodzonego” profesora Lombroso. Nawet zabawnie to wyglądało. Zadra z uśmiechem podał rysunek porucznikowi.

— Wygląda na to, że jakoś specjalnie to Ostankiewicz za nimi jednak nie przepadał...

— A wiesz, to nawet ładne. I nie uważasz, że podobieństwo uderzające? Barnych z nie tajoną satysfakcją oglądał karykatury. — To by mogło coś znaczyć, stary... Gdyby nie to, że obaj...

— Właśnie. Gdyby nie to — Zadra przerwał brutalnie Barnychowi, który ostatnio najwyraźniej nabral skłonności do marzeń. Lepiej przejrzyj akta Stawskiego. Jak wrócę z bufetu, będziemy z nim rozmawiać.

— A co, idziesz do bufetu? — ze źle maskowaną zazdrością spytał naiwnie porucznik.

— Zgadłeś, za pierwszym razem. Czy mógłbyś mi zdradzić, jakimi przesłankami się kierowałeś? — już w drzwiach rzucił kapitan i bardzo z siebie zadowolony, nie dając już Barnychowi szansy na ripostę, wyszedł z pokoju.

Na górę wrócił po godzinie dopiero — pozwolił sobie po śniadaniu na kawę, a tu nie lubił się spieszyć — ceremoniał był równie ważny jak sama konsumpcja, a może nawet ważniejszy. Rarnycha zastał zagrzebanego po uszy w papierzyskach („musiał usłyszeć, że idę” — pomyślał Zadra) i słuchającego przebojów z zajętych u Kucharskiego taśm. Od razu spostrzegł dziwnie poważny, skupiony wyraz twarzy porucznika. Przez chwile myślał, że tamten błaznuje jak zwykle, obrażonego udaje — ale nie. tym razem Barnych rzeczywiście nic miał powodów do żartów.

— Stary, dzwonili od Lepińskiego. Prosi o telefon — cicho, niemal łagodnie poinformował go porucznik.

Zadra spojrzął na niego, później na telefon, znów na Barnycha. Wymienili ciężkie, niewesołe spojrzenia. Tak. powodów do żartów nie było. Podniósł słuchawkę, powoli, dokładnie wybrał numer.

— Kapitan Zadra, z towarzyszem Lepińskim proszę. ...Tak, towarzyszu, przy aparacie. ...Tak... Tak. ... Tak jest... Nie. towarzyszu, oczywiście, że nie. ...Tak. ...Tak. ...Tak jest.

Rzucił jeszcze w słuchawkę niewyraźne, ciche „do widzenia” i bardzo wolno, niemal ostrożnie odłożył słuchawkę na widełki. Podniósł głowę. Napotkał pytający wzrok Barnycha. więc wzruszył tylko ramionami i usiadł ciężko na zwolnionym przez porucznika krześle.

— Za dobrze było... No nic. Idź po Stawskiego—

Barnych wyszedł bez słowa. Zadra siedział tak jeszcze chwilę bez ruchu. Machinalnie zaczął przerzucać rozłożone na biurku papiery. Natrafił na rysunek Ostankiewiczza. Obejrzał go raz jeszcze, uśmiechnął się nawet. Sięgnął do potencjometru magnetofonu nastawił głośniejszą muzykę. Przyglądał się karykaturom Gruchy i Kucharskiego nie zdejmując dłoni z suwaka, przesuwając go milimetr po milimetrze. Do oporu. Na pełną moc. Już nic można było rozróżnić dźwięków muzyki... Nawet nie zauważył, kiedy do pokoju wrócił Barnych i dopadł magnetofonu. Oprzytomniał dopiero, gdy porucznik wyłączył aparaturę.

— Przepraszam. Chyba się zamyśliłem — bąknął usprawiedliwiająco. — Masz Stawskiego?

— Zostawiłem go na korytarzu, bo... — Barnych spojrzął wymownie na szefa.

— Już, nieważne. Przyrowadź go.

Tym razem przesłuchanie prowadził porucznik. Zadra stanął za nim i przysłuchiwał się tylko.

— Czy nadal ma pan zamiar zaprzeczać, że odwoził pan Bożenę Grałek po zdjęciach w Kołbieli. tamtego dnia?

— Nie, to bez sensu. Rzeczywiście, jechała wtedy ze mną.

Jak zareagowała na ten wypadek? Jak miała zareagować? Zdenerwowała się. To chyba normalne.

— Nie namawiała, żeby się pan zatrzymał?

— Namawiała.

— I co?

— I nic. Bałem się. Rozumie pan? Bałem się. Wypiłem wtedy ze dwa piwa, przecież nikt by mi nie uwierzył, że byłem trzeźwy.

— Z jaką prędkością pan jechał?

— Dziewięćdziesiąt chyba. To nie był teren zabudowany. Ten facet się potknął, zatoczył... Byłem bez szans.

— On też. Co Bożena mówiła panu później? Nie domagała się, by zgłosił się pan na milicję?

— A co ma z tym wspólnego Bożena?

— Nie żyje. Dziwnym zbiegiem okoliczności zmarło jej się akurat i gdyby nie głupi przypadek, nikt nigdy nie dowiedziałby się, że to pan właśnie spowodował ten wypadek.

— I pan myśli, że ja ją... Nonsens! Przecież byłem na tym przyjęciu w trupa pijany!

— A jak pan udowodni, że upił się pan przed, a nie po...?

— Nie, to przecież totalna bzdura! Ja naprawdę nie miałem powodów. Zresztą nie mógłbym, nie umiał... Nie, to niemożliwe, żebyście na poważnie mnie podejrzewali.

— Ja wiem, czy taka znowu bzdura? Motyw pan miał, sposobność również. Tylko pan był w domu, kiedy padły strzały. Ale zostawmy to na razie. Proszę nam powiedzieć, co pan robił jedenastego sierpnia? Od południa powiedzmy?

— Nie wiem, nie pamiętam już. Pewnie miałem zdjęcia. Jaki to był dzień tygodnia?

— Poniedziałek. To raptem przedwczoraj.

— Rzeczywiście, już mi się wszystko poplątało. Mieliliśmy zdjęcia na hali w wytwórni, chyba do czwartej — można sprawdzić w raporcie kierownika planu. Później pojechałem do SPATiFu na obiad. Siedziałem tam gdzieś tak do ósmej...

— Z kim?

— Ze znajomymi — wymienił kilka nazwisk, które porucznik skrzętnie zanotował.

— I nie wychodził pan?

— Tylko do toalety. Później pojechaliśmy razem do „Ścieku”, na Trębacką. Byłem tam do trzeciej chyba, dokładnie nie wiem chyba nie byłem w najlepszej formie, kiedy wychodziłem... Stamtąd pojechałem już prosto do domu.

Barnych spojrzał pytająco na kapitana, ale ten również nie miał żadnych pytań. Porucznik zadzwonił więc po dyżurnego, który po chwili wyprowadził podejrzanego z pokoju. I znowu zostali we dwójkę.

— I co o tym myślisz? Zadra wzruszył ramionami.

— Myślę.

Ale Barnycha niełatwo było zrazić. Rozparł się na krześle, wygodnie, papierosa zapalił, rozpoczął:

— Więc moim zdaniem albo on, albo Thorstein do spółki z Mrozem. Zastanówmy się — założył nogę na nogę. — Stawski, jak się okazuje, mógł mieć jednak motyw. Grałek była, jak wiemy, dosyć pryncypialna, mogła mu postawić ultimatum; zgłosił się do nas sam, a jeśli nie, to ona nas powiadomi. I co? Dobrze zapowiadającą się karierę szlag by trafił. Nie wiemy tylko, skąd mógłby skombinować pistolet? Sądzę, że tutaj właśnie trzeba będzie poszperać. Tak, odpowiedź da nam narzędzie zbrodni! — zakończył niezmiernie z siebie zadowolony.

— Chyba naczytałeś się ostatnio powieści w odcinkach. Nawet mówić zaczynasz tym językiem. Nie chciałbym być niemiły, ale pragnę zwrócić ci jednak uwagę, iż pistolet sprawdzaliśmy już przecież dokładnie. Nie rejestrowany, śladów żadnych, brak zgłoszenia o kradzieży czy zaginięciu. Ciekaw jestem, jak chcesz znaleźć tu jakiś ślad? Tym bardziej że to model trzydzieści osiem. Wiele takich leży jeszcze po róż-

nych piwnicach. Nie, kolego, nic z tego. Akurat tutaj jesteśmy bez szans. A co genialnego wymyśliłeś z Thorstein i Mrozem?

— Dziwnie się zbiegła w czasie ta cała ich sprzeczka z bankietem u Kucharskiego. Ona nie ma alibi na Grałek. on na Ostankiewiczza. Zwróciłeś uwagę, że ona mieszkała w tym samym hotelu? — Barnych znacząco zawieszał głos po każdym zdaniu, jakby ogłaszał straszliwe jakieś rewelacje.

— Zwróciłem. A tobie zwróciłem uwagę, byś sprawdził łódzkie alibi Gruchy i Thorsiein. Sprawdziłeś?

— Sprawdziłem, sprawdziłem... Wszystko się zgadza, niestety. Wrócili po dziewiątej. Nie mieli żadnych szans. Ale to nie znaczy, że mamy zrezygnować z tej Thorstein. Bardzo możliwe, że robiła jakieś tam machloje. Grałek to wykryła... Gdyby tak można było tam u nich zrobić porządną kontrolę...

— A Mróz?

— Był z nią razem. Jeżeli kradła, to pewnie dla niego...

— Naciągane. Inna sprawa, że kontrolę to warto by przeprowadzić, ale cóż... No nic. masz tam coś jeszcze? Bo, jak na razie, jesteśmy dokładnie w tym samym miejscu, co na początku.

Tym razem Barnych wzruszył wymownie ramionami.

— Jest jeszcze Ostankiewicz. Ciągłe nie możemy go wykluczyć.

— Czy dla niego też wynalazłeś motyw?

— Oczywiście. Wciąż kochał się w Grałek i był o nią piekielnie zazdrosny.

— Jakby mu się tak jeszcze szczęśliwie zmarło, to moglibyśmy odłożyć sprawę ad acta. nie?

— A co, założysz się, że dostaniesz wkrótce taką propozycję?

— W zasadzie, to już dostałem... No nic. zobaczymy. Inna rzecz, że czasu to rzeczywiście wiele nam już nie zostało. Niektórym ludziom ta sprawa jest bardzo nie na rękę. Ciekawe, czy będzie się można kiedyś do nich dobrać. Jak myślisz?

— Myślę, że jesteś przemęczony i nie powinieneś się tym wszystkim tak bardzo przejmować. A już na pewno nie powinny ci chodzić po głowie aż takie głupie myśli. Wiesz, jak jest.

— Wiem. Jest nieźle, a będzie jeszcze nieźle. Tak... No nic, chodźmy już. Czwarta.

I jak za dawnych dobrych czasów, przed tą całą filmową aferą, wyszli razem i normalnie, jak inni, O zwykłej porze. Postanowili to uczcić — żony i tak przyzwyczyły się do ich późnych powrotów. Bez żadnego więc ryzyka, wręcz z czystym sumieniem, mogli się udać do „Bazyliuszka”. I udali się.

—Cofnij.

— Dlaczego? — Zadra nie zauważył jeszcze całej grozy sytuacji. Był tego dnia wyjątkowo nieuważny.

— Tracisz skoczka i szach — Warecki wskazał nie bronioną figurę. Marcin posłusznie cofnął ruch i po krótkim namyśle postanowił zaatakować laufrem.

— Bez sensu. Musisz bronić królowej. Skoczek na C4 i podwójny szach.

Tym razem kapitan zastanawiał się nieco dłużej, lecz nic dobrego z tego zastanowienia nie wynikło. Na analizę było już zdecydowanie za późno.

— No cóż, gratuluję — był wyraźnie naburmuszony.

— Widzę, że okropnie nie lubisz przegrywać — Warecki uśmiechał się zadowolony z siebie. Nie miał zamiaru przejmować się fochami młodszego przyjaciela.

— Masz rację, nie lubię. Ty lubisz?

— Oczywiście. To moje ulubione zajęcie.

zach;

Warecki podniósł się ciężko, złożył opróżnił popielniczkę, wyjął z barku opróżnioną już do połowy butelkę koniaku i ponownie napełnił kieliszki.

Zadra z nie skrywaną aprobatą śledził jego ruchy.

— Dziękuję, może dobrze mi zrobi. Chyba nad jestem w najlepszej formie.

— Chyba nie jesteś — zgodził się z nim major. — Ciągłe szarpiesz się z tą sprawą?

— Ano. Chociaż mam już chyba pomysł na szczęśliwe zakończenie. Muszę to jeszcze sprawdzić.

— Gratuluję. Szybko się z tym uporałeś. Tak... Mnie jednak poszło gorzej...

— Z gratulacjami to jeszcze poczekaj — jak na razie nie siedzi. A poza tym: czy tobie poszło gorzej? Ja wiem? To była przecież zupełnie inna sprawa. Znacznie mniej zależało od ciebie. Poza tym wtedy nie było jeszcze zbrodni.

— Tak. wtedy jeszcze nie...

Zamilkli obaj i żaden jakoś nie miał ochoty przerywać milczenia, choć obaj myśleli o tym samym. Podobnie myśleli.

Pierwszy ocknął się Warecki.

— Słyszałeś o strajkach na wybrzeżu?

— O strajkach? Skąd! To tylko... w nielicznych zakładach wybrzeża doszło do okresowych przerw w pracy" — ostatnie zdanie zadeklamował niczym dyplomowany lektor DTV. — Nie oglądasz telewizji?

— Zapomniałeś, że ja jestem już na emeryturze? Co o tym wszystkim sądzisz?

Zadra nie od razu odpowiedział. Dopił koniaki uważnie zgasił papierosa.

— Sądzę, że zapomniałeś, iż ja nic jestem jeszcze na emeryturze. I na razie nie chcę być.

— Nie przesadzaj, nie myślisz chyba...

— Masz rację. Przepraszam. W krew już weszło, cholera...

— Więc?

Zadra wzruszył ramionami.

— Chyba to samo, co wszyscy... Obawiam tylko, że —wszyscy" to za mało. Powinieneś czytać prasę. To bardzo pouczająca lektura. Szczególnie teraz.

Warecki pokiwał ciężko głową. Wyglądał teraz na bardzo już zmęczonego. Zadra również nie był w najlepszym nastroju. Pożegnał się pośpiesznie i wyszedł na zaciemnioną z powodu przejściowych trudności energetycznych ulicę..

Pułkownik powitał Zadę jeszcze bardziej uprzejmie niż poprzednim razem. Kapitan wiedział, że za zwyczaj nie wróży to niczego dobrego, ale nie, tym razem się pomylił. Stępak był po prostu w znakomitym humorze. .Dopiero po upływie kilku tygodni miał Zadra zrozumieć, dlaczego.

— No, jak tara, kapitanie, z tymi filmowcami? Nie próbowali was tam zaangażować na amanta, co?— pułkownik odznaczał się osobliwym poczuciem humoru.

— Dziękuję. Chyba zbliżam się do zamknięcia oprawy.

— Znakomicie, znakomicie. Jednak Ostankiewicz?

— Wolałbym o tym nie mówić. Muszę jeszcze...

— Rozumiem, rozumiem — Stępak przerwał mu szerokim gestem. — Ja też bywam przesądny.. Nie wolno zapeszać. Tak... A jak tam kontrola w wytwórni? Dogrzebali się już czegoś?

— Jeszcze nie. obywatelu pułkowniku, dopiero zaczęli — Zadra miał już tyle doświadczenia, żeby odpowiedzieć bez zająknięcia, nie dając nawet poznać po sobie zdziwienia nagłą zmianą koncepcji zwierzchnika.

— Trochę późno. Szkoda, że nie zarządziliście od razu, jak wam radziłem. Ale to już tylko wasza sprawa. Zawsze uważałem, wiecie, że oficerowie prowadzący śledztwo powinni być samodzielni. Oczywiście jesteście w kontakcie z gospodarczym?

— Oczywiście, obywatelu pułkowniku.

— To dobrze, wiecie, to bardzo dobrze. Zadzwoń tam do nich, niech dadzą do wytwórni najlepszych ludzi. Niech wszystko dokładnie przeczeszą. Wreszcie trzeba z tym zrobić porządek! U nas nie może być miejsca dla ludzi bezkarnych. prawda?

— Tak jest, obywatelu pułkowniku — Zadra wyprężył się w postawie zasadniczej.

Już niemal w drzwiach Stępak zatrzymał go jeszcze

— A tym telefonem od Lepińskiego nie przejmujcie się. Nie będzie już do was więcej dzwonił!

Wracając od pułkownika wstąpił Zadra do gospodarczego przekazać sprawę i uprzedzić, że Stępak pewnie będzie telefonował. Obiecali, że dzisiaj jeszcze wyślą do wytwórni, ekipę. Do kontroli byli zresztą przygotowani od dawna, jeszcze od prowadzonej przez Wareckiego afery z *Dziennikami Historycznymi*. Czekali tylko, na odpowiedni moment. Właśnie nadszedł.

Barnych słuchał nagrań z taśm Kucharskiego i z ogromnym przejęciem wystukiwał na blacie biurka i teczkach z aktami rytm. A tak był tym fascynującym zajęciem zaabsorbowany, że nawet wejścia kapitana nie zauważył. Ten stanął cicho u drzwi i złośliwie przyglądał się rozgrzewającemu się coraz bardziej kole-dze. Dopiero gdy utwór się skończył i Barnych gorączkowo zaczął się rozglądać za czymś, co lepiej niż łyżeczka i linijka służyć by mogło za pałeczki, cichym chrząknięciem dał znać o swojej obecności. Porucznik zastygł i nie bardzo wiedział, co zrobić z rękoma.

— Masz talent, kolego. Od dawna trenujesz? — swobodnym, naturalnym tonem spytał Zadra. Barnych spaşowiał niczym przedwojenna nastolatka. Dosłownie, aż tak.

— Dzwonili od doktora Mojrysa. Ostankiewicz odzyskał przytomność — wyrzucił z siebie jednym tchem pragnąc jak najprędzej zmienić temat.

— Można z nim już rozmawiać? — kapitan postanowił zlitować się tym razem nad zgnębnym podwładnym.

— Jeszcze nie — Bamycb odetchnął z ulgą, z wolna wracała mu pewność siebie. — Jest jeszcze bardzo osłabiony. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to może za kilka dni... Czego chciał od ciebie Stępak?

— Dowiedzieć się, jak przebiega kontrola w wytwórni — poinformował spokojnie Zadra.

— Co??? — porucznik aż uniósł się z miejsca. Zachował jeszcze szlachetną umiejętność dziwienia się.

— To, co słyszałeś. Dokładnie. Przecież od początku radził mi przeprowadzić tam gruntowną kontrolę, nie mówiłem ci?

— No nie. to wspaniałe! No nie... — Barnych wciąż nie mógł dojść do siebie. — A ty co?

— Nic. Poinformowałem o wynikach kontroli Młody jesteś, kolego, musisz się jeszcze dużo uczyć — Zadra nie omieszkał podkreślić różnicy tych dwóch lat, o które był starszy. — Tak, synu, tak to wygląda.

— Ja bym chyba nie wytrzymał — porucznik nadal nie mógł przejść do porządku nad relacją kapitana.

— Wytrzymałbyś, wytrzymał... albo do emerytury tropiłbyś bimbrownie w Łomżyńskim. Tak, kolego. A teraz zrób szefowi kawy. Sobie też możesz przy okazji.

Barnych bez słowa, niemal potulnie, zabrał się do parzenia. Dawno już. nawet bardzo dawno, nie dowiedziano mu tak brutalnie, iż jest naiwny niczym różowutki noworodek. Jeszcze dziesięć minut temu miał o sobie zupełnie inne mniemanie.

Zadra tymczasem usiadł na opuszczonym przez porucznika miejscu, włączył ponownie magnetofon, zapalił papierosa i po raz kolejny zaczął analizować nurtujący go od kilku dni problem.

Pochłonęło go to bez reszty. Wpadał czasami w taki półtrans, że nie wiedział, gdzie się znajduje, co robi. co się wokół dzieje... Chyba nawet, kim jest, nie wiedział.

Z rozmyślań wyrwał go gwałtownie Barnych wyłączając nastawiony znowu na pełny regulator magnetofon.

— Chyba nie powinieneś się tak bardzo przejmować. Idź może do domu, stary. Odpoczniesz, zrelaksujesz się trochę...

— Nie. nie. Marku, poczekaj chwileczkę, poczekaj, coś mi chodzi po głowie.

— Niedobrze, stary. Spróbuj azotoksem. bo się jeszcze, cholera, rozpleni... O. już mnie swędzi — Barnych odsunął się przezornie i zaczął demonstracyjnie drapać się po głowie. Zadra przyglądał się błazn nadzie kolegi z kamiennym spokojem.

— Przestań, bo umrę ze śmiechu — powiedział wreszcie bez cienia uśmiechu nawet. — Jeśli przestałeś już być dowcipny, to, połącz mnie z technikami. Chciałbym przeprowadzić jutro mały eksperyment. Chyba domyślam się. kto zabił Bożenę Grałek. I jak. Przede wszystkim: „jak”. Tak. kolego, chyba się domyślam...

Gospodarz przyjął ich uprzejmie, serdecznie niemal. Nie zraził się nieco bardziej niż zwykle oficjalnym zachowaniem Zadry i towarzyszących mu Barnycha oraz chorążego — technika.

Kiedy zasiedli już wygodnie w ustawionych w rogu ogromnej pracowni fotelach, kapitan nie zwlekając, nic tracąc czasu na konwencjonalne zagajenie, przystąpił do rzeczy:

— Widzi pan, przez cały czas zastanawiałem się, skąd ta nagła zmiana natężenia dźwięku? Przyzna pan że w aparaturze tej klasy nie powinno to mieć miejsca, nieprawdaż?

Kucharski nie wydał się speszony. Odpowiedział spokojnie, swobodnym, konwersacyjnym tonem:

— Tak. to prawda. Ja też o tym myślałem. Sądzi pan, że to może mieć coś wspólnego ze śmiercią Grałek. Wydaje mi się. że to jednak Sławski się ocknął i...

Tak, tak, pamiętam. To bardzo prawdopodobne. Ale wie pan, zawsze lepiej sprawdzić— Może jest jednak jakaś usterka...? Dlatego pozwoliłem sobie zaprosić pana Krzysztofa, naszego technika. Zapewniam pana, że to znakomity fachowiec. Jeśli pozwoli mu pan spojrzeć sprzęt, będzie pan miał kłopot z głowy. I to bezżadnych kosztów.

Kucharski, choć nie uszczęśliwiony chyba niespodzianą charytatywną pomocą, zaprowadził jednak bez słowa sprzeciwu chorążego do przylegającej do pracowni pakamery, w której znajdowały się magnetofon, wzmacniacz i kolumny. Po chwili wrócił na swoje miejsce i nieco zbyt gwałtownym ruchem sięgnął po leżące na stoliku papierosy

— Proszę się nie obawiać, na pewno niczego nie uszkodzi, a jeśli rzeczywiście jest usterka usunie. Nie będzie pan musiał taszczyć tego wszystkiego do naprawy — niezupełnie szczerze uspokajał go Barnych.

— No cóż... Dziękuję.

— Doprawdy drobiazg — teraz z kolei Zadra przybrał swobodny, towarzyski niemal ton. Czy wie pan już, że Ostankiewicz odzyskał przytomność?

— Nie, nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Bardzo się cieszę — uzupełnił po chwili, lecz bez pełnego chyba przekonania.

— Byłem pewien, że jest pan w stałym kontakcie ze szpitalem. To w końcu pana najbliższy współpracownik. Właśnie od niego wracam. Zdaje się, że nie przyszedł jeszcze zupełnie siebie, bo dziwne rzeczy opowiada...

— To może nie warto o tym mówić. Wie pan kapitanie, w amoku człowiek czasami różne brednie wygaduje i gdyby milicja chciała się wszystkim zajmować...

— To prawda. Chociaż Ostankiewicz mówi rzeczy naprawdę ciekawe. Twierdzi na przykład że wie, kto zabił Bożenę Grałek. Jak pan sądzi kogo miał na myśli?

— Nie mam pojęcia — Kucharski wzruszył wymownie ramionami. — Szkoda, że wcześniej nie ujawnił tych rewelacji.

— Wahał się, wie pan, przywiązanie... Teraz prysły złudzenia, więc się zdecydował.

— Nie rozumiem.

— Ejże... Nic a nic? Przecież to oczywiste, mówił o panu.

— Nonsens! Niby dlaczego miałbym ją zabijać?

— Otóż Ostankiewicz twierdzi, iż Bożena miała jakieś dokumenty, lewe faktury czy coś takiego, że skłoniła do zeznań właścicieli obiektów wynajmowanych do filmu; twierdzą oni, że żądał pan od nich procentu od płaconego przez wytwórnię czynszu. Mówi również, że wyremontował pan te willę na koszt firmy i umeblował ją meblami z magazynów wytwórni...

— Bzdury! Deliryczne majaki chronicznego alkoholika! — Kucharski nie był już w stanie ukryć wzburzenia, bezwiednym gestem rozpiął koszulę, oddychał głęboko, łapczywie. — A ja z niego zrobiłem człowieka. Tyle lat ochraniałem go. Gdyby nie ja, każdy kierownik produkcji wyrzuciłby go na zbity pysk! Szmata!

— No właśnie, Ostankiewicz ma na ten temat zupełnie inne zdanie. Zwierzył nam się, że pan nader usłużnie pomagał mu w kultywowaniu nałogu i dbał, by przypadkiem się nie wyleczył. Tak było ponoć podczas kilku poprzednich kuracji, jeszcze zanim poznał Bożenę Gratek. Podobno wykorzystywał go pan, podszycił się pod jego projekty. A kiedy spróbował się wreszcie wyzwolić, teraz właśnie... namówił go pan do picia, mimo iż, wiedział pan, że ma wszyty esperal.

— Nie mam zamiaru odpowiadać na wymysły i insynuacje notorycznego deliryka. To sprawa dla psychiatrów.

Opanował się już. Twarz znowu nabrała zwyczajnego, uprzejmego wyrazu, dłonie uspokojone również spoczęły nieruchomo na blacie stolika.

— A tak na marginesie — jak niby miałem zabić tę całą Grałek, co? Czy to też panu Ostankiewicz powiedział? Przecież pan wie, że byłem wtedy na dole. przy ognisku. Są nawet zdjęcia.

— No właśnie, tak też sobie pomyślałem Zadra pokiwał smętnie głową i zamilkł na chwilę jakby zgaszony. Zapalił papierosa, zaciągnął się mocno kilka razy. po czym zwrócił się w stronę pakamery i zawołał głośno do majstrującego tam wciąż przy sprzęcie Kucharskiego technika.

— Panie Krzysztofie, i jak tam?! Znalazł pan coś?!

Po paru sekundach podszedł do nich chorąży wycierający uważnie usmarowane dłonie w niezupełnie czystą szmatę. Minął obojętnie gospodarza i nic zwracając na niego najmniejszej uwagi zwrócił się bezpośrednio do Zadry:

— Zawsze można coś znaleźć, obywatelu kapitanie. Niezawodnego sprzętu me ma i —da Bóg — nie będzie. Ten tutaj jest rzeczywiście niezły. Duża moc, niezłe pasmo przenoszenia... Tyle że głowica trochę chodzi. Kasowanie się zacina.

— No proszę, kasowanie się zacina, powiadacie... Kto by pomyślał... — twarz Zadry wyrażała teraz bezgraniczne zdumienie. — Marku — zwrócił się do milcząco asystującego rozmowie porucznika — daj chorążemu tę taśmę pana Kucharskiego, którą zdjęliście po zabójstwie. Posłuchamy sobie.

Barnych wyjął z torby szpule i wręczył ją sprawiającemu wrażenie bezgranicznie znudzonego — technikowi, który bez słowa odszedł do pakamery.

Kucharskiemu coraz trudniej przychodziło panowanie nad nerwami. Nad dłońmi jeszcze panował, lecz czoło zrosiły kropelki potu.

Czekali w milczeniu. Zadrze też nic w pełni udało się zachować zupełny spokój. Sięgnął nerwowo po kolejnego papierosa. Równocześnie z Kucharskim. I obaj natychmiast cofnęli gwałtownie dłonie. Właśnie w tym momencie usłyszeli z głośników magnetofonu strzał. Jeden, a po sekundzie drugi. Kucharski poderwał się nagle, lecz nie zamierzał uciekać. Zbyt był oszołomiony, spoglądał tępo na wychodzącego z pakamery technika, zdecydowanie najspokojniejszego człowieka w tym towarzystwie.

A Zadra nie miał już powodów do zdenerwowania, poprawił się wygodnie w fotelu, bez pośpiechu zapalił extra — mocnego.

— Cóż, panie Kucharski, technika bywa jednak zawodna...

Ale ten chyba nawet nie dosłyszał. Opadł ciężko na siedzenie i tkwił tak nieruchomo na nic już nic zwracając uwagi i tylko dłonie drgać mu zaczęły jak niegdyś Ostankiewiczowi. Nie potrafił już nad nimi panować. Gra się skończyła, nerwy odmówiły posłuszeństwa i oto nagle, w jednej niemal chwili, stał się zmęczonym, niedołężnym starcem.

Mołodysz oczywiście, jak to on zwykle, spóźniał się. Zadra siedział przy barku, kończył powoli drugą już wódkę i wyrażał się w myślach o przyjacielu słowami zdecydowanie nie nadającymi się do druku. Przywoływał właśnie barmankę, niezdecydowany: płacić i wychodzić nic czekając już dłużej, czy też jeszcze jeden Koniak zamówić, kiedy zjawił się wreszcie zziębnięty, zaspany reporter. I od razu, nie dając nawet Zadrze dojść do głosu, zaczął się usprawiedliwiać:

— Przepraszam, stary, nie mogłem — służba. Lecę prosto z sądu, rejestracje obsługiwałem. Już wiesz pewnie...

— Słyszałem w radiu i powiem szczerze, że mi —ulżyło.

— Wszystkim ulżyło, stary. A już wiało grozą... Co pijesz? — zadał retoryczne raczej pytanie wysączając równocześnie resztkę płynu z kieliszka Marcina. Ale zrehabilitował się szybko zamawiając kolejną porcję. Zadra nie przejmował się specjalnie takim zachowaniem Mołodysza, był już przyzwyczajony do jego ekscesów.

— Gratuluję reportażu o wytwórni. Jednak poszedł.

— Owszem, tyle że rok temu to byłoby naprawdę coś, a teraz... jak dla byka ciastko. Może ciąg dalszy będzie bardziej efektowny. Możesz już mówić?

— Mogę. Śledztwo skończone, akt oskarżenia w sądzie — dla mnie jest już po sprawie.

— Przyznał się?

— Nie miał wyboru.

— No to opowiadaj po kolei.

Marcin sięgnął po kieliszek, napił się bez pośpiechu, ostentacyjnie wolno i dokładnie przypalił papierosa i zaciągnął się z lubością, jakby nic palił od miesiąca. Mołodysz czekał pokornie, cierpliwie, wreszcie nie wytrzymał:

— Umówmy się, że jesteśmy na remis. Nie musisz się już dłużej znęcać.

— No dobrze — zgodził się Zadra łaskawie. — Więc tak: motywy znasz, a sposób był rzeczywiście niebanalny. Wszystko miał dokładnie zaplanowane. Myślę, że nawet to przyjęcie specjalnie w tym celu zorganizował. Kiedy mieli schodzić na ognisko, założył na magnetofon odpowiednio przygotowaną taśmę: kilka minut ciszy, a później ostra, hałaśliwa muzyka. Włączył sprzęt na pełną moc, i zszedł razem z innymi na dół. Po jakimś czasie zaczął się ten jazgot. Dwa razy po czterdzieści wat, to musiało być straszne... Kucharski niby to zdziwił się bardzo i pobiegł na górę ściszyć. Tyle że przedtem wszedł do pokoju, w którym spała pijana Grałek i zastrzelił ją. Umyślnie strzelał dwa razy i na wszelki wypadek przez koc. Ale hałas z magnetofonu był tak potworny, że i tak zagłuszyłby wszystko. Później zamknął Grałek na klucz i poszedł do pakamery. Zmienił taśmę na nową, czystą, na której miał nagrane tylko te dwa strzały. Oczywiście również po kilku minutach ciszy. Znowu włączył sprzęt na pełną moc i spokojnie wrócił do gości. Upłynęło trochę czasu. Staromłyński zdążył zrobić parę zdjęć... To Ostankiewicz go o to prosił — widocznie przeczuwał, że coś się szykuje, myślał, że w ten sposób zaszachuje Kucharskiego, nie wiedział, że tylko mu pomaga. No więc po chwili usłyszeli strzały. Z magnetofonu, ale lepsze niż prawdziwe. Pobiegli na górę, Kucharski rzecz jasna też. No, a później, w zamieszaniu, skasował taśmę... Ładne? Nieprawdaż?

— Alibi prawie doskonałe. Jesteś genialny — Mołodysz nie ukrywał szczerego podziwu.

— Tak, to prawda — przyznał skromnie Zadra. — Ale przesłanek prawdę mówiąc było sporo. I gdybym od razu zaczął szukać w myśl starej, pocziwej maksymy „qui bono?”, pewnie prędzej bym się z tym wszystkim uporał. Niepotrzebnie, jak się zbyt późno okazało, wykluczyłem tych, którzy byli na dole, przy ognisku. Cóż, człowiek jest omylny.

— Nie przesadzaj już z tą samokrytyką. Jeden komplement dostałeś i na razie musi ci to wystarczyć. No więc — jakie miałeś przesłanki?

— Sporo. Bezsensowny drugi strzał, skoro pierwszy musiał być śmiertelny. Strzelanie przez koc, Ten cały niespodziewany jazgot z magnetofonu. Sam udział Grałek w przyjęciu — scenograf nie przepadał za nią przecież. Zeznania sąsiadów, którzy na kilka dni przed bankietem słyszeli coś jakby strzały w willi Kucharskiego. Ale przede wszystkim czysta, nie nagrana taśma, którą zdjęliśmy z magnetofonu po przyjęciu,

— Nie rozumiem...

— Ja też. długo nie mogłem zrozumieć, lecz jeżeli cały czas szła z magnetofonu muzyka, to dlaczego zastaliśmy czystą taśmę? Kto, kiedy i dlaczego, przede wszystkim: „dlaczego”, ją zmienił?. Gdy zacząłem się nad tym zastanawiać, to było już w zasadzie po sprawie. Dobrze, że Kucharski nie zdążył jej zmienić.

— To był jego największy błąd?

— Nie. Największym błędem było morderstwo. Większego już nie mógł popełnić.

— To prawda. No dobrze, a co z Ostankiewiczem?

— Domyślał się. Może nie sposobu, ale faktu na pewno. Wiedział, że Bożena ma obciążające Kucharskiego materiały.

— Ale dlaczego, na Boga, dał się namówić do picia?

— Mnie też trudno to zrozumieć. Myślę, że nie jesteśmy w stanie tak do końca pojąć układu między tymi dwoma. Pewnie Ostankiewicz nie bardzo wyobrażał sobie, że w ogóle można odmówić Kucharskiemu. Jeszcze jak tamten zaproponował mu bruderszaft... Przez te wszystkie lata byli przecież ze sobą na „pan”. Poza tym wiesz, jak to jest: jedna szklaneczka wydaje się niegroźna, a po tej jednej następne tym bardziej. Cudem się z tego wylizał.

— Zaczął mówić?

— Bardzo późno. Już po przyznaniu się Kucharskiego.

— Czyli wtedy, u niego, bluffowałeś?

— Hmm... jak by ci tu powiedzieć... — Zadra w udanym zakłopotaniu podrapał się po czuprynie. — Jeśli kazałem już nagrać w laboratorium te strzały i zrobiłem numer z niby to zepsutym kasowaniem, to czemu nie miałbym iść na całość?

— A Kucharski dał się tak kupić? Zadra wzruszył ramionami.

— Nie wiem. ile razy w swoim życiu mordował— zapewniam cię, że po drugim razie, kiedy do tego wali ci się w diabły całe alibi, człowiek staje się, nie wiedzieć czemu, nerwowy...

— Chyba masz rację, rzeczywiście ostatnio rzadko morduję... Choć muszę ci się przyznać, że czasami mam nawet ochotę. Dzisiaj na przykład...

— Nie zapominaj, kolego, że rozmawiasz z funkcjonariuszem wprawdzie nie na służbie, ale...

— Dobrze, już dobrze, nie strasz mnie, już nie te czasy... Powiedz lepiej, co z kontrolą w wytwórni?

— A owszem, jest. A nawet są, bo trwa ich jednocześnie kilka. Za wcześnie o tym mówić, a tym bardziej pisać — spojrzał wymownie na starającego się przybrać minę niewiniątka Mołodysza — ale wygląda na to, że wkrótce parę osób straci nie tylko stanowiska.

— Jednym słowem: pełny happy end?

— Powiedziałbym raczej, że tylko do pewnego stopnia. Sidwa. były dyrektor naczelny wytwórni, został karnie przesunięty do pracy w dyplomacji, właśnie niedawno wyjechał, a jego miejsce zajął Grucha, kierownik produkcji obu tych filmów — *Dzienników Historycznych i Krwi* ... Tak, tak to właśnie wygląda... Szkoda, że nie odzyskaliśmy tych papierów Grałek, założyłbym się, że sporo tam było i o Grusze. Niestety...

— A śledztwo go nie objęło?

— Żartujesz chyba. Sprawca wykryty, nie ma co dalej się w tym babrać, nie należy tworzyć niezdrowej sensacji, to nie jest odpowiedni moment... i tak dalej i tak dalej.

Mołodysz pokiwał głową, rozumiał doskonale, on też w redakcji słuchał od kilkunastu lat pouczeń o „niewłaściwym momencie”, najdłuższym chyba momencie w naszej historii. Niewłaściwym, rzecz jasna. Odbiegła gdzieś entuzjastyczna energia, którą promieniował przed godziną jeszcze. Bez przekonania, z nawyku raczej, zamówił po kolejnej wódce.

Zadra z uznaniem przyjął ten gest. On nie stracił dobrego samopoczucia — bardzo wiele się ostatnio nauczył, a wiedza — jak powszechnie wiadomo — pomaga wszak zachować równowagę ducha.

— No nic, mimo wszystko wypijmy jednak za czas zmian — Młodysz uniósł w górę kieliszek. Zadra ujął swój, trącił się serdecznie z przyjacielem.

— Oby służył nam lepiej, niż zmiana czasu Kucharskiemu.